KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 7 zł

...„UCZONEMU — JEŚLI NIE CHCE SAM SWEGO POZIOMU OBNIŻYĆ — NIE WOLNO NIGDY WYRZEKAĆ SIE CZYNNEGO UDZIAŁU W ŻYCIU SPOŁECZNYM..."

Paweł Lafargue

k 2 Łódź, 21 stycznia 1946 r. Nr 2 (20)

OLF RUDNICKI

K l ę s k a

ada deszcz. W przedziale tłoczno, du- kobiet z dziećmi, toboły leżą w przej- ch. Obok mnie — przy oknie — stoi owiek ubrany z miejska, może trzydzie- letni, o tłustawej twarzy i dużych wod- tych oczach. Przed chwilą sięgał do wnianej skrzynki. Zamknął ją na kłódkę i odstawił z powrotem na półkę. Kto z zi związanych z wojskiem nie zna tych wnianych kuferków, towarzyszących opu ze wsi, rzemieślnikowi z miasta, ile ć ci wybierają się do wojska? „Do Płoc- ?" — pytam. — „Tak". — „Do artyle- ". — „Nie, do piechoty". — „Skąd?" — Gdyni". — „W Gdyni — dodaje — już jna. Na ulicy widzi pan zasieki, działa eciwlotnicze, rowy przeciwlotnicze, azda karabinów maszynowych, wojska wojska. Część sklepów już pozamykana, ro ludności wyjechało, Polak za nic nie jedzie do Gdańska, Niemiec nie poje- e do Gdyni. Uuu, tam będzie gorąco...".

Patrzymy obaj w noc obmywaną desz- em, idącym gęstą ukośną strugą. Za na- wagon, prawie ciemny, niebieska siat- otula lampę. „Jak pan myśli? — pyta ynianin — Będzie wojna?". „Czy będzie jna? — Nie — odpowiadam — nie bę- e wojny. Wszyscy, których znałem, ewniali mnie, że nie dojdzie do wojny, wrócę nie zdążywszy wyjechać na li- . Tak było we Francji we wrześniu trzy- iestego ósmego roku i tak będzie u nas. kt w Europie nie chce wojny, nawet ci, órzy najwięcej hałasu robią. Ci właśnie jmniej. Skończy się na krzyku. Rozej- ie się po kościach. Tak mówili mi wszy- y".

Dojeżdżamy do Radziewia, przedmieścia ocka. Stacja jak na zapadłej prowincji. mpa naftowa u pułapu, brudne ściany, yty ceratą stół, na nim upstrzona mucha- oszklona szafka, w niej kilka krążków ełbasy, czerstwe bułki, słój ogórków aszonych, kilka tabliczek czekolady — fet. Trzymamy się razem, ja i mój nowy warzysz: łączy nas wspólne jutro.

Deszcz i noc. Opuść poczekalnię, zejdź stopni pod szklanymi drzwiami, a wde- iesz w bajoro, których pełno zapewne drodze. O trzydzieści metrów dalej za- yna się cmentarna głusza. Na razie cze- my. Stacja oddycha senną nerwowością. obiety patrzą oczami jak gdyby przemo- rozwartymi, niektóre dzieci już usnęły, ne stały się osowiałe, zmęczenie zmogło dne i drugie. Chłop w zielonym kapelu- u wyjada śliwki z kieszeni, pestki splu- a w garść. Ksiądz w sutannie z jasno- ółtego lnu kręci się niespokojnie od bu- tu do drzwi i z powrotem. Podchodzi do awiadowcy stacji i pyta: Dlaczego nie ma orożek? — „Pociągi nadchodzą nieregu- rnie — odpowiada zawiadowca. — Do- ożkarze od kilku dni czekali po pięć, sześć godzin, wreszcie się zbuntowali. Ale ech ksiądz dobrodziej będzie spokojny, zwoniłem na postój, tylko patrzeć jak bę- ą dorożki".

Przystępuje do nas kapral, gładki, ładny, tego gatunku, który się w wojsku od ra- u przyjmuje. Zmęczeni ustawicznym łaja- iem sierżanci wyłapują tych gładyszów, rchają ich naprzód w hierarchii koszaro- wej, moszczą im drogę, urabiają opinię. Gładki uśmiecha się do nas: — „Panowie może do piechoty?" — „Owszem, panie kapralu" — odpowiada gdynianin. — „Czy z mobilizacji?" — „Nie. Za kartą powoła- nia". — „Aha, indywidualna — stwierdza kapral — bo już ogłoszono i mobilizację powszechną. Dziś po południu. Wiecie, panowie, o tym?...". — Wiedziałem. Dojeż- dżając do dworca zauważyłem na ulicy Poznańskiej tłum ludzi przed pierwszymi afiszami mobilizacyjnymi. Zatem tej sa- mej godziny, gdy ogłoszono mobilizację, wyjeżdżałem do pułku. Nie widziałem War szawy ani w środę, ani w czwartek. Nie spędziłem w stolicy dwóch ostatnich nocy sierpniowych, bezsennych inną bezsennością niż we wrześniu.

Kapral informuje nas, że punkty zborne piechoty i artylerii mieszczą się niedaleko od siebie. Czeka nas zatem wspólna droga. Kałuże zmuszają do chodzenia gęsiego, wytężamy więc słuch, by nie uronić żadnego ze słów kaprala. Przez cały tydzień wojsko szło a szło ku granicy, mało kto pozostał w koszarach. Co robią na linii? Okopali się i leżą. Co robią w koszarach? Nic. Czasami pójdą kopać okopy. Cała czynna służba wyjechała.

Miasto błotniste, rozkopane, tonie w ciemnościach. Niskie domy, parkany, z chodników masz same tylko krawężniki, kałuże i kałuże, gdzieniegdzie nagle latarnia: sosna, do której przyczepiono lampę. Ludzie wyrastają jak spod ziemi, tylko na skrzyżowaniach światła nieco więcej. Twarzy ludzkich nie da się rozeznać.

Nie bylibyśmy żołnierzami, gdybyśmy nie chcieli bodaj kilka minut skraść dla siebie. W dodatku czujemy się "obowiązani wobec przewodnika. Tu, [illegible] zna nawet lokal, który odwiedza zwykle przy niedzieli, gdzie można tanio zjeść i wypić. „Chrześcijański zakład" — dodaje. Idziemy więc do chrześcijańskiego zakładu.

Wejście od ulicy jest zamknięte. Wchodzimy przez sionkę, w pierwszym pokoju kontuar, za kontuarem bufetowa jak kolumna czerwona jak pomidor. Mijamy jeszcze dwa pokoje malowane w chłodnych kolorach, stoliki kruche, kryte lichym, białym papierem, serwetki z takiego samego papieru, krzesła byle jakie; jeszcze nie restauracja, już nie dom, rzemieślnik dorobił się, zabrał do handlu i urządził wszystko własnym sposobem. Siadamy w ostatnim pokoju. W drewnianym okienku, które się na chwilę podniosło, mignął czarny łeb kucharza. Z bufetu dochodzi głos radia: tanga przerywane patosem zdań na czasie. Uderza to skojarzenie. Widać, że bez tanga człowiek współczesny już nic nie trawi...

Rozmowa nie bardzo się klei, niewiele mamy sobie nawzajem do powiedzenia, to co nas czeka, jest zbyt poważne i nie nastraja do mówienia. Następuje pewne zniecierpliwienie. Kapral, choć przez cały czas podkreślał, że nie ma powodu do pośpiechu, pierwszy proponuje aby *jednak* pójść. Mimo wczesnej pory na ulicach pusto. Idziemy milcząc. „Tu jest pański punkt zborny" — powiada do mnie kapral i wyciąga rękę na pożegnanie. To samo czyni gdynianin. Życzymy sobie wzajemnie „rychłego i zdrowego powrotu do domu" i rozstajemy się.

Przez chwilę stoję przed budynkiem z kolumnami. Słabe światełko mąci owalną szybę w górze drzwi. Naciskam klamkę, drzwi ustępują, idę długim, wąskim korytarzem wyłożonym kamienną posadzką — nikogo, cisza. Na końcu korytarza spotykam grubego ogniomistrza, który z podpinką na brodzie, z odstającymi uszami, przypomina podoficera z filmów komicznych. Z palcem na ustach gromi mnie. Wstydzę się swych zbyt głośnych kroków. „To pociąg dopiero przyjechał? Chodźcie ze mną". Wracamy tym samym wąskim, długim korytarzem. W pobliżu wejścia podoficer uchyla drzwi na prawo i przekręca wyłącznik. Biały budynek z kolumnami okazuje się szkołą, izba w której się znajduję — jedną z klas. Ławki usunięto, na stołach wzdłuż ścian leżą postacie w najdziwaczniejszych pozycjach. Ogniomistrz powiada szeptem: „Połóżcie się spać i zgaście światło". Jeszcze chwilę spogląda mi w oczy, po czym wychodzi. Zostaję sam bez ochoty do snu. Patrzę na mych towarzyszy. Jest ich sześciu. Jeden unosząc głowę, cały zgrymaszony, jak człowiek wyrwany ze snu, mruczy z wyrzutem: „Światło". Wyłączam światło, właźę na stół pod oknem, podkładam sobie walizkę pod głowę, okręcam nogi marynarką. Za oknem — chłodne, czyste, przejmującej piękności niebo. Deszcz dawno ustał. Zamykam oczy, aby nie patrzeć w niebo, które podsyca myśli i próbuję zasnąć. Na próżno.

Jest środa trzydziestego sierpnia.

* * *

Kapitan patrzy na moją kartę mobilizacyjną i kiwa głową. Wkłada ręce w kieszenie i ogląda mnie uważnie: „Z zieloną kartą i tak późno?". Tłumaczę mu, że byłem poza Warszawą. Kapitan stoi w dużej sali z oknami wychodzącymi na puste, rozkopane pole. Nie siedzi, lecz stoi przy sprawdzaniu książeczek wojskowych i wyznaczaniu przydziałów. Otrzymuję skierowanie do zapasu.

Z mobilizacji powszechnej powołanych nie ma na razie. Siedzimy wier — gromadką z nocy — przed domkiem z kolumnami i czekamy. Przy furtce tkwi żołnierz o lennej i zmysłowej gębie z wywiniętymi ku górze wargami, czujny i mrukliwy jak brytan. Wysłano go po zmobilizowanych, ale ponieważ ciągle nas mało, więc czekamy na dalszych i razem ruszymy do pułku. Ale już należymy do tłustego żołnierza przy furtce, to nasz pierwszy zwierzchnik. Nie wypuszcza poza obręb budynku. „Nie wolno" — mruczy, nie podnosząc nawet oczu. — „Nie wolno, wojsko" — i patrzy na koniec swego buta. Od ulicy odgradza nas parkan z drutu. Przechodnie nie zajmują się nami, mobilizacja ma charakter powszechny, nasz los stanie się wkrótce losem wszystkich, nie ma więc potrzeby interesować się nami. „Cóż to was tak mało" — mruczy brytan pod furtką, ale nie podejmuje rozmowy. Milczy. Milczenie wydaje mu się najwłaściwszym wyrazem władzy. Wzgardliwe milczenie, ostentacyjny brak zainteresowania dla nas przy niesłabnącej jednakże czujności.

Powoli zaczynają napływać — źle i dobrze ubrani, młodzi i starzy, ludzie wiejscy i miejscy, tędzy i chudzi, wysocy i niscy, o twarzach inteligentnych i tępych, łagodnych i surowych, śmiali i nieśmiali, weseli i smutni, naród powołano i naród przekazuje mozaikę swoich typów. Jedni uśmiechają się, inni milcząco i z powagą kierują wprost do budynku, do kapitana. Brytan niechętnie ogląda nadchodzących: „Ruszta się! Ruszta! Jak to-to łazi!..." Z przybyłych jedni nic nie odpowiadają na te mrukliwe połajanki, inni, przeciwnie, z miejsca podejmują kłótnię i hardo mierzą tłustego wartownika, jak gdyby chcieli mu powiedzieć: Siedź cicho, nie wiesz kim jestem. To ja tobie mogę sadła za skórę zalać, ty!... Wszelako brytan nie należy do tych, co lękają się czyjegoś wzroku. „Idź, idź" — odpowiada śmiałkom. — „Już tam czekają na takich jak ty!..".

Przyprowadzono nas wreszcie do pułku. Brud panoszy się na podwórzu koszarowym. Ścieki płyną pod murami, słoma zaśmieca chodniki, budynki zaniedbane, a ponurość ich jeszcze bardziej uderza w świetle bezsłonecznego chwilowo południa. Żołnierze wylegują się na kocich łbach, włóczą bezmyślnie z kąta w kąt — wszyscy w łatanych, wypełzłych drelichach, w podartych butach, niektórzy jeszcze w cywilnych trzewikach — nie żołnierze, lecz rozłażąca się masa. Ósmy pułk artylerii, który wcielił nas do swych szeregów, wchodzi w skład dywizji pomorskiej. Przybyli, to w większości Pomorzanie. Przypuszczam, że dotkliwie uderza ich widok koszar. Ze swego zamiłowania do ładu Pomorzanie są raczej podobni do nieprzyjaciół, z którymi mają walczyć, niż do nas.

Bezhołowie panuje w pułku. Jeden jedyny oficer zawodowy, nazwiskiem Peszt, mały kapitan na krzywych nóżkach, pozostał dla zorganizowania napływających rezerw i przygotowania ich na front. Do pomocy otrzymał kilku podchorążych z toruńskiej szkoły oficerskiej, kilku oficerów rezerwy, niedostatecznie wykształconych wojskowo, toteż albo pobłażliwych nadmiernie, albo nazbyt krzykliwych. Kadry zapasowe gromadzą się na razie w świetlicy. Jest to duża izba z estradą, na której stoi fortepian z oknami wychodzącymi z jednej strony na ulicę, z drugiej widać pułkowe zabudowania stajenne. Sto pięćdziesiąt osób żyje już w tej świetlicy, niektórzy już od tygodnia. Ci rozporządzają siennikami zawsze w kilku, co jest konieczne z powodu braku sienników, z powodu braku miejsca i z tego jeszcze powodu, że siennika należy stale pilnować. Większość śpi na podłodze, na gołe słomie albo bez słomy. Menażkę pożyczamy [illegible] długich.

Pod wieczór wzywają do kancelarii, która mieści się na piętrze. Podchorąży ogniomistrz odbiera nam książeczki wojskowe, po czym kieruje nas do magazynu mundurowego. Otrzymujemy takie same drelichy jak nasi towarzysze. Już noc zapada, gdy wracamy do świetlicy — jako żołnierze.

* * *

Pierwszy września wypadł w piątek. Był to jeden z tych dni, kiedy słońce długo walczy z mgłą, aby przynieść wreszcie kilka godzin tej zachwycającej pogody, którą w kraju nazywamy złotą, polską jesienią. Samoloty niewyraźne we mgle od rana krążyły nad koszarami. Nie przerażało to nas. Trwaliśmy w przekonaniu, że odbywają się ćwiczenia przeciwlotnicze, które nam zapowiadano, że chodzi o utrzymanie całkowitej powagi ćwiczeń próbnych. Te ćwiczenia przeciwlotnicze wyznaczone na pierwszy dzień wojny — w całym zdaje się kraju, były w sam raz odpowiednim startem dla mających nastąpić wydarzeń.

Dwieście osób w świetlicy to masa, która żyje życiem różnorodnym i rozbitym. Gdy jedni nie wiedzą jeszcze o niczym, inni z przejęciem opowiadają że z baterii wzięto żołnierzy do przewożenia ofiar i rannych. Niektórzy pokazują nawet chropowe, jeszcze gorące kawałki żelaza — odłamki pocisków. Wybuchy, które słyszeliśmy, były zatem wybuchami bomb prawdziwych.

W twarzy dobrze odkarmionego porucznika — nazwiska jego nie znam, nazwiska trudno spamiętać, również twarze przy tej ilości, trudno spamiętać — widać ślady zdenerwowania. Gestem satrapy biurowego zarządza zbiórkę na podwórzu, ale musi ją natychmiast rozpędzić, gdyż samoloty znów się ukazują. Przełożeni nie wierzą, aby cokolwiek można nam było oznajmić inaczej niż wobec frontu złożonego z kilkuset żołnierzy, zebranych na podwórzu. Bezpieczeństwo uważają za trwałe dopóki istnieje linia frontu, tak dalece sięga ich uświadomienie w charakterze wojny nowoczesnej. Przełożeni zawodowi? Nie ma ich, ale pozostał po nich styl, metoda, myśl. Nie mamy ani o jedną zbiórkę mniej niż rekruci w okresie niezmąconego pokoju. Już wydaje się coraz mniej-prawdopodobne, aby maszyny w górze były [illegible] maszynami. W dwupiętrowym [illegible] wytrzymałym na bomby, jak budy [illegible] sodową, sierżanty, człowiek o [illegible]

wieka, w masie szukając ochrony przed wstrząsami. Dręczy nas niepokój, potęgowany przez dezorientację. Przełożeni na wszystko mają jedną odpowiedź: Siedź w świetlicy.

Następuje ponowna zbiórka. Tym razem otwierają się przed nami bramy koszar. Zdążamy ulicami miasta w stronę Radziewia, jak twierdzą ci, którzy znają Płock. Na murach ogłoszenia, orędzia, zarządzenia, instrukcje, wszystko dotyczy wojny. Na przedmieściu kobiety wystawiają na nas przerażone oczy: Dokąd? Gdzie macie karabiny? — Oddział maszeruje bez broni. — Jedna z kobiet łapie się za głowę: „Boże, oni nas opuszczają! Oni uciekają!!...".

Wstępujemy do koszar piechocińskich. Część z nas pozostaje do kopania okopów, reszta zabrawszy szpadle i drut rusza do Radziewia, do przeciągania zasieków. Wzdłuż nasypu kolejowego mijamy okopy. Młody i stary rocznik kopał je od marca. Wojna nie wybuchła niespodzianie. W pobliżu toru oficer rozpuszcza oddział. Kładziemy się na trawie. Do zasieków jakoś nie zabieramy się. Po upływie godziny — już inną drogą — wracamy do koszar. Po południu przyjdziemy znów do tej roboty. Rozkazy brzmią mętnie.

Zbiórkę na obiad rozpędza ponowny sygnał alarmu lotniczego. Pada komenda: „Lotnik, kryj się!". Ma ona jeszcze ten posmak zabawy, który miała podczas ćwiczeń pokojowych na placu koszarowym. Paręset osób stojących w pełnym słońcu pryska na wszystkie strony, do izb, pod mury. Robi to takie wrażenie, jakbyśmy się wzajem traktowali niepoważnie, my — naszych przeciwników, ci w górze — nas. Przeciwnik tu jeszcze nie atakuje, niepokoi jedynie, dezorientuje.

Nie wracamy po obiedzie do zasieków. Siedzimy w świetlicy. Naloty nad miastem trwają bez ustanku. Wartownik od ulicy skrył się pod okapem, wciągnął brzuch, chcąc zmniejszyć własny cień. Przez okno widać wieżę ciśnień, pole w głębi. Od czasu do czasu pokazuje się tam mała dziewczynka, spojrzy w niebo i chowa się z powrotem. Dziedziniec koszarowy świeci pustką. Pod stajnią stoi kapitan Peszt i zadziera głowę. W świetlicy nie słychać rozmów. Są niebezpieczeństwa, które człowiek przyjmuje w milczeniu.

W środowisku spędzonym „z całego [illegible] nie na krótko i przeważnie z początku. Garlicki to warszawianin, robotnik. Pracował w Ursusie, mieszkał na Targówku, dziecko tych stron, o których śródmieście wie niewiele. Ma spokojną twarz, spokojne orzechowe oczy, falisty mazurski nos, regularne, piękne usta. Nie podnosi głosu gdy mówi. Mundur ma porządny, jak większość powołanych przed mobilizacją powszechną. Przybył za zieloną kartą tydzień temu, wyekwipowano go i pozostawiono w zapasie. Znudził go ten tydzień obijania się i wyczekiwania. „Powołano mnie na wojnę, a trzymają w świetlicy. W listopadzie tak samo trzymali mnie sześć tygodni. Człowiek wrócił do domu i nie wystrzelił". Garlicki proponuje abyśmy poszli na strych. „Będziesz tu siedział jak mysz pod miotłą?".

W środku pięknego mostu nad Wisłą stoi działo przeciwlotnicze. Przez małe okienko w strychu widać jak na dłoni ten most, widać również krzątającą się obsługę. Na prawo od mostu w nieskazitelny błękit nieba wrastają ucieszone jak gdyby wieżyczki kościoła. Pochmurność ustąpiła, zrobił się śliczny dzień, wiatr skacze nam po twarzy. Piękno jesieni dopiero tu się widzi i odczuwa.

Naraz w tę śliczną pogodę, w ten gołębi spokój wdziera się wycie przejmujące, trwożne, długotrwałe wycie śródnocne przeniesione w biały dzień. Alarm. Milkniemy, ściszamy w sobie wszelki głos życia, nasłuchujemy. Po czasie, który w myśli obliczam na pięć do sześciu minut, od północy i zachodu postępującymi za sobą falami napływają maszyny nieprzyjacielskie. Płyną wysoko, spokojnie, bezpiecznie niby łodzie po cichej rzece, oglądane z dalekiej góry, tylko układ jest tetraz odwrócony. Nie, nie mają w sobie nic groźnego na tej wysokości. Również kanonierzy przy dziale z oddalenia dwóch kilometrów wydają się jakby nierealni, poruszają się jak na sznurkach. Wysiłek tych kilku żołnierzy pracujących w najwyższym napięciu, nie dociera do nas. Samoloty wzięły kierunek na most. Oddzielają się, by uderzyć pojedyńczo. Obsługa działa zabiera się do pracy. Srebrne od słońca pociski rozpryskują się w powietrzu wśród smużek dymu. Działo strzela dużo i niecelnie. Pociski to wyprzedzają cel, to nie dosięgają go. Wokoło samolotu tworzy się szereg obłoczków, które pilot spokojnie omija, niby żeglarz niebezpieczną mieliznę. Drapieżca z góry nie zrzucił ładunku, obsługa odpędziła prześladowców. Nad mostem zalega cisza.

„Chodź! Chodź tu! Stąd lepiej widać!" — woła z drugiej strony Garlicki. Leży na rozgrzanym dachu z rękoma pod głową jak na gorącym nadbrzeżnym piasku i gapi się w górę. Nie chce nic uronić z gry pomiędzy niebem a ziemią. Nie on jeden. Jest tu jeszcze kilku amatorów mocnych wzruszeń. Ogromny żołnierz w rozpiętej marynarce skacze jak kot z jednej strony dachu na drugą, śledzi, gdzie zanosi się na coś ciekawego. Kapitan Peszt przygląda się z dołu temu harcownikowi i woła: „Zejdziesz ty stamtąd? Przecież cię zabije, tyłku jeden!".

Z nastaniem wieczoru zażywny porucznik, ów biurowy satrapa, zwołuje zbiórkę trzeciej i czwartej baterii oraz zapasów. Już nie ma tej pewności siebie, która cechowała go wczoraj i dzisiaj rano. Przemawia szeptem. Co mówi? Że wojna się rozpoczęła i należy się spodziewać nalotów również w nocy. Czwarta bateria nie będzie mogła pozostać na drugim piętrze. Musi się przenieść do trzeciej baterii na parter, na świetlicę. Stoi nas spory rząd, paręset osób, trzecia i czwarta bateria i my, głównie rezerwy mających powstać nowych baterii w miejsce tych, które wyruszyły na linię. Ciemność rośnie z minuty na minutę, już tylko z trudem rozróżniamy twarze. Słuchamy zażywnego oficera, coś zatrważającego tkwi w jego szepcie — bezradnym i jak gdyby drgającym klęską. Po rozpuszczeniu zbiórki stoimy jeszcze chwilę przed naszym dwupiętrowym domem wobec mocy bomb istotnie nie bardziej odpornym niż budka z wodą sodową. [illegible] krzyki i nawoływania. „Franek! Franek!" — słychać czyjś głos. Ginie ten „Franek" wśród innych nawoływań, ale rychło znów wypływa. To przyjaciel szuka przyjaciela.

Obok mnie stoi Garlicki. O zdobyciu noclegu w świetlicy nie ma mowy. Podłoga gęsto nadziana ludźmi, nie stąpniesz, by nie natrafić na kogoś. Na pierwszym piętrze to samo. Idziemy więc na drugie. Lęk? Lęk płynie z doświadczenia, którego jeszcze nie nabyliśmy. Brawura? Jeśli brawura, to brawura głupców. Młodzi z nas wojownicy. Młodzi i ciemni.

⁂

Mobilizacja trwa. W niedzielę rano w świetlicy zebrało się pięćset osób. Świeżo przybyli jakiś czas noszą cywilną odzież i po tej odzieży można ich odróżnić. Opowiadają o bombardowaniu miast i pociągów. Z zatrzymanych pociągów uciekali do lasu, kartoflisk, rowów. Z Warszawy do Płocka niektórzy jechali 3 doby. „Handlowiec-chrześcijanin", prowadzący spółdzielnię pułkową zamknął ją i uciekł. Przywiązanie do życia okazało się silniejsze od przywiązania do pieniędzy. Wraz z Garlickim toczymy długie rozmowy z wartownikiem aby nas puścił do sklepu na ulicy. Wartownik tłumaczy się surowym zakazem. Garlicki nie mówi wiele, ale znajduje właściwe słowo.

Kobieta o wąskim, ściśniętym czole, o twarzy, której życie leży w tęgich policzkach i kwadratowym podbródku, opowiada o ofiarach bombardowania. Wymienia nazwiska, wylicza domy, po których został gruz: „Sprawdza się przepowiednia pisma świętego — antykryst będzie tańcował z żelaznym piecykiem". Kupiec o wypomadowanej głowie uspokaja ją: „Nie panikirować się. Wszystko weźmie obrót jak należy. Tylko się nie panikirować..." Dzielny kupiec nie może sobie jednak poradzić z własną córką. Sklep przylega do mieszkania. Przez uchylone drzwi widać pluszową kanapę, na jej gzymsie, porcelanowe figurynki i słychać głos: „Muszę pojechać, tatusiu i pojadę." W drzwiach staje młoda dziewczyna na wysokich nogach. Zostawiła matkę w wiosce o czternaście kilometrów stąd. „Oni tam na pewno o niczym nie wiedzą" — mówi córka. „Tym lepiej" — odpowiada ojciec. „Nie lepiej. Nie wiadomo co nas czeka, i trzeba żebyśmy byli razem, na wszelki wypadek". Dziewczyna zastanawia się głośno czym jechać: furmanką? rowerem? Może pójść pieszo? „Jakiego zdania są panowie żołnierze?"

Oddzielono mnie od Garlickiego. Zawie ruszył się w drodze powrotnej ze sklepu. Tymczasem podoficerowie zawodowi z Torunia, którzy po licznych przygodach przybyli wreszcie wczoraj wieczorem, spędzili zapasowych do świetlicy i setkami poprzydzielali do baterii. Na próżno oglądam się za Garlickim! Jesteśmy straceni dla siebie. Bateria dzieli, bateria łączy...

Izba z piętrowymi łóżkami bez sienników. Na ścianach wiszą tablice z instrukcjami, wyjątkami z regulaminu, portrety generałów. Ustawiamy się w dwuszeregu, spisują nasze kwalifikacje wojskowe i cywilne. Przeprowadza to porucznik, którego nazwiska ciągle nikt nie zna. Plutonowy podchorąży o ascetycznej twarzy i cienkich ustach stoi przy nim. Zadaje pytanie żołnierzom i szepce do ucha oficerowi. Z początku przysłuchujemy się odpowiedziom, z czasem zaczynają one nudzić i dalsze nie wywołują już niczyjego zainteresowania. Głupio i niewygodnie stać, więc powoli siadamy na łóżkch, na podłodze i tylko w pobliżu oficera stoją.

Okna wychodzą na podwórze zastygłe w martwym żarze i ciszy. Garstka żołnierzy o osowiałych twarzach schroniła się w bramie i czeka na koniec sygnału lotniczego. Warkot samolotów trwa, od czasu do czasu słychać huk bomb. Wpatrzeni w krzyczącą ciszę podwórza nie czujemy jeszcze trwogi. Póki człowiek ugodzony kulą nie zawyje obok nas głosem, w którym nie ma już nic ludzkiego, póty nie odczujemy przerażenia i trwogi.

Kończy się ściąganie kwalifikacji. Oficer wstaje. Ascetyczny podchorąży szepce mu znów do ucha. „Jeszcze chwila! — woła oficer — Kto ma ochotę pójść na patrol?" Wyjście z koszar to zawsze gratka dla żołnierza. Zgłasza się wielu i wokoło oficera powstaje tłok. Ascetyczny podchorąży już postanowił. Pójdą najwyżsi wzrostem. „Tacy są najodpowiedniejsi do służby na mieście". Między innymi wybór pada i na mnie.

Po obiedzie gromadzimy się pod wartownią. Są między nami tacy, którzy znają miasto, i ci podejmują się odnaleźć patrole. O ich miejscu pobytu oficer inspekcyjny nie umie nam nic powiedzieć. Karabiny? Nie, nie dostajemy ich. Na ośmiuset pięćdziesięciu ludzi pułk rozporządza dwudziestoma pięcioma karabinami ręcznymi, które znajdują się w posiadaniu patroli rozrzuconych po mieście. W samym pułku mamy jeden jedyny karabin na ramieniu wartownika przy bramie. Nie ma więc nie tylko butów i mundurów. Po ogłoszeniu mobilizacji krawcy zmuszeni byli pracować bez przerwy. Niektóre oddziały ekwipowały się w magazynach krawieckich lub u krawców chałupników. Żołnierze przychodzili z kartką na spodnie i na miejscu je wkładali. Nie dostajemy również płaszczów. Zmiana pozostawi je nam wraz z karabinami, czeka nas bowiem noc na ulicy. W stajni nie ma koni, w działowni nie ma dział. W działowniach leżą senni żołnierze i z brodą ukrytą w dłoniach gapią się na pociąg, który przebiega przez most strachliwie i z zadyszką, jak małe dziecko przez ciemny pokój.

Jezdnia wzdłuż koszar rozkopana, drzewa wycięte i rzucone w poprzek ulicy. Gdzieniegdzie ustawione barykady z płyt kamiennych. Spośród gałęzi wyglądają działa i kanonierzy. Widać ludzi z opaskami na ramieniu. Na stopniach siedzą zamyślone kobiety. Miasto oczekuje wroga.

Słońce jest już czerwone i chłodne, gdy odnajdujemy patrol, który mamy zmienić. Bombardier, spore chłopisko, o gębie wieprza sarka na nas: „Dlaczego tak późno?" Odpowiadamy dlaczego tak późno. Błądziliśmy, nie sposób było ustalić przy której są rogatce. Szukaliśmy w polu, odkryliśmy nawet baterię przeciwlotniczą, aż wreszcie natrafiliśmy na drobnego żołnierza, który nie był bynajmniej zdziwiony naszym błądzeniem. Widać dnia poprzedniego błądził tak samo.

Oddają nam karabinki i płaszcze. Przed odejściem bombardier chce nam wskazać mieszkanie, gdzie będzie można zagrzać się i przespać. Mijamy furtkę, domek wygląda ładnie, willa podmiejska z piętrem, ani na piętrze ani na parterze nie ma właścicieli, uciekli. Schodzimy ciemnymi, cuchnącymi schodami do piwnicy. Tu w izbie zawalonej obrazami świętymi, łóżkami, połamanymi gratami, mieszka kobiecina otoczona wianuszkiem małych dzieci. Rok temu wysiedlono ją z pomorskich lasów pogranicznych wraz z mężem i dziećmi, teraz męża zabrano do Modlina. Bombardier uprzedził nas: „Poczęstuje was herbatą poczęstuje chlebem, ale nie bądźcie świnie, nie objadajcie biednej kobiety. Ona częstuje i płacze..." Najbiedniejsi! Ich współczucie towarzyszyć nam będzie stale, ostatnim kęsem podzielą się, ostatnim kęsem zroszonym łzą wspomnienia o mężu, ojcu, bracie, który gdzieś tam na... skazany jest również na łaskę ludzi. Na razie zostawiamy płaszcze. Przyjdziemy po nie, gdy nastanie noc.

Czterech nas pełni służbę. Kielski, chłop pochodzący z tych stron. Słoniewski, znajomek Kielskiego. Zielenkiewicz, warszawianin, blady, anemiczny o ustach jak scyzoryk i ja. Do naszych obowiązków należy sprawdzanie zawartości wozów wjeżdżających i wyjeżdżających z miasta. Stoimy na rogatce, droga przez Płońsk, Ciechanów, Mławę prowadzi tędy do granicy pruskiej. Domów już tu prawie nie ma, małe wille, ubogie drewniaki, ruch nieznaczny, pusto niemal. Zatrzymujemy furę krytą brezentem, okazuje się, że wiezie butelki z lemoniadą. Wypijamy po butelce, sięgamy po pieniądze, furman w ciemnej koszuli, prawie że nie chce pieniędzy. Boi się, nie dowierza nam. Chciałby znaleźć się jak najdalej od tych możliwości samowoli, jakie żołnierzowi daje wojna. W przeciwieństwie do reszty patrolu Zielenkiewicz lubi korzystać z władzy. Zatrzymuje samochód prowadzony przez majora. Major błyska oczami; znać, że bardzo mu pilno. „Służbowo — krzyczy przez zamkniętą szybę. — Służbowo!" Macha świstkiem, dodaje gazu i ucieka. „Mam prawo" — mówi rumieniący się ze wstydu Zielenkiewicz. „Masz prawo" — odpowiada poważnie Słoniewski.

Obchodzimy teren w towarzystwie kolejarza z bujnymi siwiejącymi wąsami, emerytowanego od kilku lat, na którego nałożono obowiązki tutejszego komendanta OPL. Podszedł, przedstawił się, a teraz oprowadza nas po okolicy, gdzie zna wszystkich, sam tu mieszka od lat. Większość domków zamknięta, właściciele uciekli, niektórzy przenieśli się do Płocka. Niepewnie czuli się w tej okolicy, w pobliżu toru kolejowego i gazowni miejskiej, śródmieście uważali za bardziej bezpieczne. Olbrzymie leje, na drodze i w polu świadczą, iż teren ten istotnie przyciąga uwagę lotników. Stajemy przed drewnianym domkiem zamarłym jak inne, w oknach czyste firanki, kwiat, który nazywa się panna młoda. „Mieszkanie Kotlarskiej — informuje nas kolejarz. — Zabiło ją w piątek podczas bombardowania. Zbierała kartofle na działce. Głupia! Należało jej poczekać na kartoflisku, a ona pobiegła do [illegible] Koło toru [illegible] walkił..."

Już szaro, bierze chłód. Kroczymy dalej po uliczce. Z jednego domku wychodzi kobieta z tobołem na plecach. „Boję się złodzieja — mówi do naszego przewodnika — zaniosę do kuzynów w mieście". „Z Olszewską prawda? — pyta kolejarz. „Prawda, z dwojgiem dzieci zabiło ją. Dużo ofiar. Do szpitala ciągle przywożą. Kostnica pełna". Od tej kobiety bije cierpienie, twarz udręczona, skóra na twarzy wycieńczona, włosy od potu zlepione na czole. Jest zgrzana, zmordowana, ale nie wie o tym. Patrzy na nas, ale nas nie widzi. Nie widzi nas, gdyż potrzeba jej bezpieczeństwa, którego i nam brak... Odchodzi wąską dróżką między płotkami, garbiąc się pod ciężarem. „Do schronu!" — woła za nią kolejarz, gdyż uszła już kawał drogi. Kobieta odwraca się i martwo kiwa głową. Martwo i potwierdzająco.

Nasz obchód trwa. W jednym z okien otwarte radio. Minister spraw zagranicznych nazywany przez żołnierzy B e c k (c jak co) swym ciężkim głosem mówi o zwycięstwie, które teraz, po przystąpieniu do wojny Francji i Anglii nie ulega wątpliwości. „Pewny człowiek" — zauważa kolejarz. Ma na myśli właściciela radia. Mówi tak dlatego, że dopiero co szpikował nas wiadomościami o szpiegach, których pełno w okolicy.

Oto już noc, olśniewająca noc, niebo jak łza, duży księżyc w ogromnej pustyni z szafiru, ziąb. Na czterech mamy trzy płaszcze. Zielenkiewicz pozostał więc w piwnicy. Zluzujemy go później. W zasadzie postanowiliśmy czuwać po dwóch, ale ja nie mam ochoty spać. Drepcemy po podmiejskiej drodze, zabudowanej tylko z jednej strony, po drugiej ciągną się łąki, wśród których widać ciemną, sporych rozmiarów banię — to gazownia miejska. Kroczymy po chodniku postukując buciorami i ten stukot to jedyny znak życia pod czystym pustynnym niebem, na tej półwiejskiej ulicy, skąd uciekli mieszkańcy. Tym nielicznym, którzy zostali, bieda do tego stopnia obrzydziła życie, że wszystko im jedno, gdzie ich śmierć spotka. W oddaleniu niewielu kilometrów rozlegają się strzały lżejszego kalibru, które dochodzą nas niby nieustanny niezmordowany szczęk nożyc fryzjerskich. Słychać głuche dudnienie pocisków grubego kalibru, widać łuny, olbrzymie, różowo-czerwone łuny w kilku punktach horyzontu.

Kolejarz również nie śpi. Towarzysząc

W poprzednim numerze „Kuźnicy" z dnia 7 stycznia 1946: St. A. Majewski – Niebezpieczne mity. Louis Aragon – Ballada o tym, co śpiewał na miejscu kaźni – Lekarz z Villeneuve, Zofia Nałkowska: Medaliony – Kobieta cmentarna. Tadeusz Kubik – It's for you, Mr Hill! Janusz Gaładyk – Kto zapłaci Andersowi? Teraz Tyszkiewiczowa – Historie o malarstwie smutne i wesołe, Roman Werfel – Spór na temat bankructwa emigracji. Witold Kula – Odpowiedź. Nad czym pracują [illegible]rze radzieccy – Tuwim po rosyjsku [illegible] Rozmaitości – Prosty klucz – Adam [illegible] Beaumarchais w Teatrze Wojska [illegible] Szalony Dzień czyli Wesele Fi[illegible] Kazimierz Rudzki. Noty. – Prze[illegible]

nam, bierze udział w ocenianiu odległości i natężeniu bitwy. Od czasu do czasu rozlega się stukot kopyt końskich i na drodze ukazuje się furka pełna skulonych postaci. Furka wydaje się tak mała, jak wózek tragarski. „Dokąd?" — pytamy. „Do kopania rowów" — odpowiadają głosem żartym chrypką, to noc tak zmienia głos ludzki. Ruchu od granicy prawie nie ma.

Zielenkiewicz nie mógł uleżeć w piwnicy, bał się, że go zasypie, tak powiedział. Zimno mu w cienkich drelichach, drży i szczęka zębami. Jeszcze dwóch z obrony przeciwlotniczej przyłączyło się do nas. Jeden z nich ma na sobie mundur leśnoniczy, drugi, w futrze podbitym lisami, jest dyrektorem tutejszego banku. Znów wywiązuje się rozmowa na temat szpiegów. Jest to widać szczególnie piekąca sprawa tej okolicy. Na niebie ukazują się samoloty. Powarkują. „Chodźcie panowie pod okap, widno jak w dzień" — mówi dyrektor. Od piątku wszyscy mówią do nas nie inaczej jak „panowie, panowie żołnierze". Spod okapu śledzimy pięć bombowców, które spokojnie i pewnie szybują. Następują wybuchy. „Gdzieś blisko" — odzywa się Zielenkiewicz —„może na koszary rzucił?" „Nie, to za Wisłą—wtrąca kolejarz. — W most celuje". Napływa nowa fala. Wyją dławionym, urywanym wuu-wuu-wuu. „Kiepska mieszanka, nie mają benzyny" — rzuca dyrektor. We wszystkich pismach czytaliśmy o tym. Nie rozpoczną wojny, bo nie mają czym. Benzyny im zabraknie po dwóch tygodniach. Jeść od dawna nie mają co..."

Noc trwa. Łuna nie gaśnie, nie milknie dudnienie ciężkich pocisków artyleryjskich, nie ustają strzały lżejszego kalibru — szczęk nożyc. Spoglądamy na odblaski toczących się bitew, słuchamy odgłosu kanonad. Ale żadnemu z nas nie przechodzi przez myśl, że oto łowimy odblaski i odgłosy pierwszych decydujących na tym odcinku klęsk, których gorycz poczujemy już jutro.

***

Poniedziałek — czwarty września — był dniem równie pięknym jak niedziela. Mglistość porannych godzin rozpłynęła się w świetle słońca, powietrze stało się przeźroczyste jak szkło. Około godziny ósmej nadjechał rowerzysta z meldunkiem do dowódcy patrolki. Nie umieliśmy wskazać gdzie przebywa dowódca. Ve [illegible] później droga zaczęła się ożywiać. Byli to młodzi ludzie w poszukiwaniu komendy powiatowej, zmieniający miejsce pobytu robotnicy z zawiniątkami, w których mieścił się ich dobytek, pojedyncze rodziny na wozach. Liczba tych wędrujących nie była wielka, to odsuwało od nas niepokój, jakkolwiek artyleria nie przestała grać.

Akcentów grozy nabrał ten obraz dopiero około południa. Szły już nie pojedyncze osoby, przed nami płynęła a płynęła nie dająca się ogarnąć fala ludzka, starcy i młodzi, robotnicy i sklepikarze, chłopi i urzędnicy, kobiety z dziećmi i dzieci, które pogubiwszy rodziców rozglądały się lękliwie wokoło. Zalawszy całą szerokość traktu i ścieżki szli przed siebie z przerażeniem w oczach, z milczeniem na ustach, w jakimś obłędnym skupieniu. Turkotały wozy strzelające tobołami, kłębami pościeli, toczyły się drobne wózki popychane ręką biedaków, chrzęściły rowery, rżały konie, ryczało bydło, tylko ludzie szli milcząc, niby urzeczeni, niby zaklęci. Pudłem bogatego powozu, niby trumną, automobilem, który jak robak miotał się bez możności wydostania z tego zamknięcia, przetykany był tragiczny ten pochód. Kobieta w wysokich butach z zaciśniętymi ustami, z biczyskami w obu dłoniach mocowała się ze stadem krów. Stado rozdrabniało się, wlazło między wozy, kobieta wciskała się za nim i tłukła batami. Wybiegała naprzód, to wracała, zza chustki pot gryzącą strugą spływał jej na oczy, które raz po raz wycierała. Prowadziła tę walkę wśród głuchego milczenia wędrujących, ich bezwzględnej obojętności na wszystko co należało nie do nich. Nie zatrzymując się rzucali nam: Działdowo w ogniu. Mława spalona. Są w Ciechanowie, o trzydzieści kilometrów stąd. Szli naprzód, za nimi gnała śmierć, tylko przed nią człowiek tak ucieka.

Naraz ten straszliwy obraz pogłębił się o jeszcze jeden akcent klęski. Boso, bez bluz, bez czapek, z obandażowanymi głowami, z obandażowanymi rękami, jedni pieszo, inni na nieosiodłanych koniach, jeszcze inni przycupnięci na wozach uciekających rodzin wracali rozbici żołnierze. Rzadko który z nich miał karabin. Spoglądali przed siebie z jakąś ostatecznością w wyrazie oczu, twarze mieli zmęczone ponad wszelki wyraz. Patrzyli, ale tak jak gdyby nie widzieli, nie odpowiadali na pytania. Żołnierz idący luzem krzyknął nam: „Rzeź, chłopcy! Do wieczora będą w Płocku..."

Kolejarz radzi się nas: pozostać na miejscu czy zamknąć dom i uciec. Rozważyl wszelkie możliwości, ale nie może powziąć decyzji. Nic nas nie obchodzi kolejarz. Obchodzi nas jedynie to; złuzują nas czy nie i jak wobec tego postąpić. Już nawet nie patrzymy na to, co się dzieje na drodze, na ten pochód klęski, której fala zagęszcza się a nie rzednie. Żołnierze już wracają większymi gromadami. I z tych nie można nic wyciągnąć. Nie chcą mówić. Niektórym wargi drżą jak w febrze. Około godziny trzeciej przechodzi ascetyczny podchorąży z grupą ludzi, w których poznajemy kolegów z baterii. Nie zatrzymują się. „Dokąd? Po co?" — wołamy za nimi. „Po rannych" — odpowiada jeden. „Kopać rowy" — mówi drugi. Nie mają karabinów, nie mają szpadli, nie mają noszy.

Przyszła zmiana, lecz nie po to, by nas zastąpić. Wracamy razem do koszar. Głód daje się nam we znaki, wstępujemy do szynku coś zjeść. Tylko nieliczne sklepy są jeszcze otwarte. I ten szynk już zamykają. Mężczyzna usługując, nam, nie przestaje zwracać się do kobiety za bufetem: „Jadziu, pakuj się, pojedziemy, wszyscy jadą". Kobieta zawodzi. Z jej zawodzenia wynika, iż mąż, żołnierz, piątą noc już spędza na pobliskiej ulicy, śpi tam, „kamień pod głową, kamień pod nogami". „Nie pomoże mu twój płacz, Jadziu, pakuj się" — mówi mężczyzna. Kobieta wciąż płacze. Naraz wybucha gradem przekleństw na tych, którzy zawinili tę wojnę,.. Jak okrutnie brzmią te przekleństwa. Nie można słuchać bez bólu serca, bez pragnienia zemsty.

Gdy wychodzimy nie ma już w rynku ani jednego otwartego sklepu. Groźnie wyglądają te spuszczone żaluzje, zatrzaśnięte drzwi opatrzone w duże kłódy. Z drogi, którą patrolowaliśmy, wracają resztki rozbitych dywizji. W milczeniu, bez jednej komendy przetaczają się działa, tabory, w milczeniu i wstydzie maszerują oddziały. Stuk butów, stuk kopyt końskich, turkot kół, chrzęst żelaza, oto jedyne głosy żywe tych oddziałów, które klęska jak gdyby zmroziła. Na ulicy nie ma ludzi. Jedynie kilku stróżów stoi pod akacją i opierając się na laskach spogląda na żołnierzy. Naraz rozlega się znajomy warkot wuu-wuu-wuuu. Trwoga przeszywa kolumny. Warkot rośnie, nie ma już wątpliwości, nieprzyjaciel się zbliża, nie natrafi na żaden opór, nie masz przed nim oporu, nie masz ratunku, każdy skazany jest na siebie—duch wojska zamarł w tych rozbitych oddziałach, ich liczebność to liczebność stada. Żołnierze z obłędem w oczach porzucają szeregi, skaczą z koni, gnają na oślep przed siebie wśród rozdzierających krzyków, nie wiadomo czyich. Trwoga potęguje siły, które rosną, rosną nieprawdopodobnie, ludzie przesadzają płoty jednym susem, od jednego zamachu, pędzą, pędzą, by znaleźć się wreszcie w rowach, dołach, ugrzęznąć na ich dnie. Warkot staje się ogłuszający, samoloty lecą całkiem nisko, tuż-tuż rozlega się terkot karabinów maszynowych. Następuje oczekiwanie, ślepe bezradne oczekiwanie szczutego zwierzęcia. Na śmierć lub wybawienie.

***

Już wieczór. Koszary, które poprzedniego dnia, kiedyśmy je opuszczali, tętniły życiem setek ludzi, teraz wyglądają jak wymarłe. Zatrzaśnięte okna, martwy dziedziniec, martwe mury, martwy dom. Pułk uciekł. Sterczymy, — nieduża grupa żołnierzy ściągniętych z posterunków — w bramie. Samoloty jeszcze krążą pod ciemnym niebem. Gdy któryś wychyla się, ściąga go gniew pozostałych. „Macie go, jaki ciekawy". Na twarzach przerażenie. Niski, tłusty żołnierz, handlarz mąki z Pułtuska, Katoń, mówi głosem złamanym. Dziwne wrażenie wywiera taki głos. Kocie by są ślepe od zmroku.

Wybuchają narzekania na oficera. „Chce nas zostawić na pastwę. Zginiemy przez niego. Otrzymał rozkaz wyprowadzenia nas i na co czeka? Patrole już wróciły". To gniewa się piegowaty wysoki żołnierz w cywilnych trzewikach. Wszyscy podzielają ten jego gniew. Niektórzy twierdzą, że należy ruszyć bez czekania. Ale mimo oświadczeń krążymy nadal w bramie bezradni, niby dzieci w opuszczonym domu.

Jest wreszcie porucznik. Przyszedł razem z kapitanem Pesztem, który w sobotę opowiadał, że na Westerplatte nieprzyjaciel witał się przez podniesienie nie jednej ręki, lecz obu. Powodzenia polskiej kawalerii miały się do tego przyczynić. Nie, nie ma teraz uśmiechu na jego zgasłej twarzy. „Czy wszyscy wartownicy wrócili?" — pyta głucho. Liczy nas. Żegna się z porucznikiem, którego widzę po raz pierwszy. Jest to wysoki młodzik o końskiej twarzy i malutkich wąsikach w kształcie kostki pod nosem. Formujemy oddział i opuszczamy koszary. Obejmie je po nas piechota. Płock będzie broniony.

Na ulicach pełno wojska. Żołnierze przy działach ukrytych w gałęziach mają nieruchome twarze. Cisza i ciemność. Skaczemy przez doły, wspinamy się na pagórki powstałe z wyrzuconej ziemi, idziemy gęsiego po zastawionych chodnikach — wszystko to zapory przeciw czołgom nieprzyjaciela. Mijamy dwupiętrowy budynek, szpital. Stoi tu sporo karetek, rannych z frontu przywieźli. Przed jedną siostra wyciąga ręce i mówi wgłąb: „Chodź, dziecko, tylko pierwszej pomocy ci udzielimy, potem pojedziesz do Warszawy". Z wnętrza nie milknie histeryczne wołanie: „Nie! Do Warszawy. Ja chcę do Warszawy!...". Ludzie pędzący stada bydła przed siebie, ludzie na wozach i na rowerach, wszyscy, wszyscy, których widzieliśmy dziś w południe, o nic innego nie pytali tylko o Warszawę. Warszawa ma im przynieść ratunek, Warszawa ma stać się miejscem zbawienia dla rozbitej, biednej prowincji. Prowincja mogła paść, Warszawa nie. Prowincja mogła nie mieć dział i schronów, Warszawa wszystko to musi mieć. Na drogach i szosach obłąkane z trwogi masy ludzkie prą na Warszawę.

Szybko przechodzimy most. Za mostem tysiące żołnierzy maszerują w rozsypce przez całą szerokość drogi. Bokiem ciągnie ludność cywilna. Ścieżki wypełnione są niezliczoną ilością furmanek usuniętych widać z drogi. Drzewa zakrywają niebo, panują nieprzeniknione ciemności, stopa tonie w gęstym kurzu. Żołnierze maszerują grupkami. W jednej ktoś opowiada: „Przez piątek i sobotę jeszcze się jako tako trzymaliśmy, w niedzielę Niemcy przełamali front. Było ich dwa razy tyle co naszych, chłop w chłopa. Do ataku nie szli pieszo, wszystko na motorach. Karabiny maszynowe na motocyklach. Karabin maszynowy przypadał u nich na trzech. Pod Mławą była istna rzeź! Z ósmej dywizji nikt nie pozostał przy życiu. Trzydziesty drugi rozbity w puch...".

I oto zaczęły się wędrówki pod osłoną nocy, wędrówki na podobieństwo szczurów. Ósmy pułk — który wreszcie odnaleźliśmy — maszeruje pod osłoną dwudziestu pięciu karabinów. Uzbrojeni żołnierze idą z boku. Wygląda to tak, jak gdyby nas konwojowali, jak gdybyśmy byli jeńcami. Jeszcze przed wątpieniem w bój bez płaszczów, bez koców, w cienkich drelichach drżymy z zimna. Dokąd idziemy? Nikt nie wie. Jedni twierdzą, że do Warszawy, drudzy, że do Kutna, inni, że do Gąbina. Nikt się nie spiera. Nie wiadomo jak długo trwa marsz. Zmęczeni i senni, straciliśmy poczucie czasu. Na wozach nie wie się nic, człowiek skuli się i śpi, zdany na łaskę losu. Czoło kolumny ostrzeliwano z karabinu maszynowego. Jedni rozbiegli się do rowów, inni na łąkę, reszta przystanęła nie rozumiejąc przyczyny popłochu — pułk złożony z tysiąca blisko osób rozciąga się na znacznej przestrzeni i znużone tyły nie wiedzą nic z tego co się dzieje na przodzie. Ubezpieczenie — owi żołnierze z karabinami — rzucili się w pościg. Złapano jakichś cywilów, wytłuczono porządnie i zaprowadzono na wiejski posterunek. Tu schwytani wykazali się wszystkimi potrzebnymi papierami. Sam komendant policji stwierdził, że schwytani cieszą się najlepszą opinią.

Padając z nóg, osiągamy wreszcie las. Następuje odpoczynek. Kładziemy się jeden obok drugiego, obejmujemy mocno, musi nas grzać nasze własne ciepło, jedyne ciepło, jakim rozporządzamy. Splecieni jak najściślej, zmęczeni do nieprzytomności mamy tylko jedno pragnienie: zasnąć. Wchodzimy w sen niby w błogą, czarodziejską rzekę. Korony sosen przepuszczają kawałki bladego nieba. Już świta.

***

W południe, żołnierzom spod Mławy, którzy w nocy zmieszali się z nami, rozwiązały się języki. W kilka godzin później zginęli nam z oczu. Zabrano ich aby nie szerzyli defetyzmu. Z nastaniem zmroku podoficerowie z Torunia zarządzają zbiórkę na bateriach, mamy ruszyć w dalszą drogę. W związku z tym obiegają pogłoski że Płock padł. Jedni twierdzą jakoby słyszeli o pójściu do Warszawy, drudzy, że do Dęblina przez Warszawę.

Droga prowadzi między lasami. W oddziałach panuje cisza. Zabroniono rozmawiać. Zabroniono palić. Chowa się więc ogieniek papierosa w rękę. Żołnierze pozwalają się łajać, a jednak palą. Przechodzimy przez wieś, zupełnie ciemną. Ludzie wylegli z chat, boso, niektórzy w samej tylko bieliźnie i przypatrują się nam z wytrzeszczonymi oczami. Trzeba bardzo wytrzeszczać oczy, aby cokolwiek zobaczyć. Ale chłopskie oczy są bystrzejsze od miejskich. Tam, gdzie miejskie nie widzą nic, chłopskie dojrzą sadek, a w nim [illegible] śliwę. „Co za wioska?" — pytają z wozu. Słychać odpowiedź. „Gdzie prowadzi?" „Na Gąbin!" „Na Warszawę". „Tak, na Warszawę". „Sklepik jest? Palenia można dostać?" „Sklepik tam [illegible]! Mozia!" I znów milczenie. Przed sklepikiem z wozów odpadają całe gromady. Zdyszani, przymuszeni do pośpiechu, pytamy jeden przez drugiego o palenie, cukierki, chleb. Powstaje krzyk, sklepikarz woła że [illegible] nikomu nie sprzeda. Ale nim się sklepikarza nie pyta, ludzie łapią byle co, jedni [illegible] cają pieniądze, inni wybiegają nie zapłaciwszy. Trzeba teraz dogonić oddział, żołnierz do żołnierza podobny, nie [illegible] go w ciemności, wybiegasz więc naprzód lub zawracasz, nie łatwo odnaleźć kolumnę. Nie ma już czwórek, maszerujemy po sześciu, ośmiu, dziesięciu całą szerokością drogi. Noga grzęźnie w piasku, niesłychanie piaszczysta droga!

Żołnierka to niekończący się łańcuch znajomości. W lesie zbliżyłem się do kanoniera nazwiskiem Kielcz. Nieduży, mocnej budowy, czerniawy, pracował jako stolarz w Skolimowie, ale jak mnie zapewniał, zna Warszawę „jak własne pięć palcy", „Warszawa, można powiedzieć jest moim ulubionym miastem". Leżeliśmy koło siebie w nocy, w ciągu dnia wiadomymi sobie wzajemnie drobne usługi. Nie ma płaszcza, podobnie jak inni rychło jednak wystarał się o płaszcz piechociński z dwoma guzikami na plecach. Wywąchał, że w taborach znajdują się płaszcze, które chowano nie wiadomo na co, i ściągnął jedno. Maszerujemy pod tym płaszczem, nakrytym jak worek na głowę. Dokucza głód. Niektórzy kłapią zębami. Jednakże pomimo zimna chce się pić. Wychłeptczesz manierkę wody, po piętnastu minutach pragnienie dokucza ci znów. Studnię byś wypił.

Mijamy Gąbin. Małe miasteczko, [illegible] domki, szosa wybrukowana kocimi łbami, wąskie chodniki i głucho zatrzaśnięte sklepy. Zrazu wszystko wydaje się pogrążone we śnie. Ale tak nie jest. Pod bramami [illegible] czą postacie mieszkańców. Przyglądają się nam bez jednego pytania, niejeden już dział uciekający pod osłoną nocy widział, jesteśmy jedną z wielu [illegible] klęski. Mijamy szereg [illegible] mi się, nie wiadomo dla [illegible] Kielcz pyta o godzinę. Nie [illegible] dzina, rzadko kto w dłuższym marszu zachowuje poczucie czasu.

Wyszliśmy na szosę. Niebo zaczyna się przerzedzać, ale nie wiadomo czy to druga czy czwarta, świt przechodzi wiele [illegible] nim staje się dniem. Kolumna rozpełza się w bezładną masę, maszerują jak kto chce, w grupie lub oddzielnie, odpoczynek każdy wydziela sobie wedle woli, potem dołącza się do byle której kolumny. Na szosie pełno rozbitego wojska, pełno cywilnej ludności pieszej i na wozach. Jadące samotne kobiety, które nie umieją obchodzić się z końmi, ze łzami w oczach pokują żołnierzom lejce do rąk. Jadą przeważnie z zachodnich granic.

Na wozie małżeństwo z Pomorza. Na przodzie mąż, w półkoszku, plecami do mnie, za nią czterdziestoparoletnia kobieta. Na wszystkich wozach jedna osoba siedzi tak, aby mieć toboły na oku. Fura toczy się wolno. Trzymając się jej obu stron maszerujemy z Kielczem. Kobieta opowiada nam: „Bydgoszczy nikt nie bronił. Nim się spostrzeżono, Niemcy byli w mieście. Jakiś niby Niemiec z miejscowych strzelał z karabinu maszynowego z okna kościoła. Ludność niemiecka o wszystkim była powiadomiona. Polacy do ostatniej chwili nie wiedzieli o niczym". Małżeństwo na wozie pochodzi z Radomia. Kilka lat temu drogą służbową przeniesiono je do Bydgoszczy. Kobieta zwierza nam się [illegible] swojej głównej troski: „Mówią, że do [illegible] rodzin nie puszczają, podobno [illegible] tylko kawalerów... Co ja zrobię?...". Bokiem drogi, bez szelestu, niby cienie przejeżdżają na rowerach policjanci. Nie odwracają głowy, patrzą przed siebie tak, jak gdyby im się karki nie obracały.

O świcie stanęliśmy we wsi [illegible] Zwiad przygotował nam kwatery w chłopskich stodołach. Zzuliśmy buty, zakopaliśmy się w sianie by pospać kilka godzin. Około południa żołnierze wylazą ze stodoły i zaczynają rozglądać się za czymś do jedzenia. Pierwsza ich myśl to gospodyni. Kielcz wyprzedził innych i otrzymał duży kawał ciasta. On jeden. Ja nie mam nawet jaj, chleba. Nie jesteśmy pierwszym wojskiem, które śpi w stodołach brzozowskich. Skutki przemarszów znać wszędzie. Drzewa w sadzie są ogołocone. Z wody [illegible]

Adolf Rudnicki

(Dokończenie w następnym numerze)

ADAM SZAFF

Materializm walczący

NOWA ENCYKLOPEDIA

„Manifest Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego" — oto tytuł odezwy, którą grupa inicjatorów Nowej Encyklopedii wydała do narodu francuskiego. Jest to dokument takiej wagi, że musimy zeń zacytować obszerny ustęp, by zapoznać polskiego czytelnika z nurtem myśli nowej Francji.

Nawiązując do katastrofy narodowej, jaką Francja przeżyła w czasie ostatniej wojny, inicjatorzy Nowej Encyklopedii, na wzór encyklopedystów wieku XVIII-go, pragną być heroldami odrodzenia duchowego Francji. Drogą do osiągnięcia tego celu ma być Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego, jako sztab generalny tej potężnej armii duchowej, którą Francja powinna i może mobilizować i rzucić dziś dla ponownego zdobycia swej poprzedniej wielkości".

Zasadniczym zagadnieniem w tym, na tak wielką skalę zakrojonym, planie jest kwestia dróg realizacji zamierzenia. I ten właśnie ustęp Manifestu, który mówi o metodzie Nowej Encyklopedii, jest dla nas najciekawszy. Oddajemy głos autorom Manifestu.

„Istnieje dziś metoda, — czytamy w Manifeście — zdolna do opanowania i do zorganizowania w całokształcie wiedzy i działalności człowieka. To, co Diderot zrealizował przy pomocy mechanicznego materializmu naszych filozofów francuskich XVIII wieku, można powtórzyć w XX wieku przy pomocy materializmu dialektycznego w Nowej Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego. Encyklopedia XVIII w. stanowiła arsenał ideologiczny Rewolucji Francuskiej. Jest dziś rzeczą naglącą stworzenie intelektualnego instrumentu odbudowy Francji przy pomocy metody jeszcze bardziej zrozumiałej i bogatej...

„Mówiąc o „materializmie dialektycznym" nie pragniemy myśli francuskiej narzucać dogmatycznie doktryny jakiejś „sekty". Być dziś materialistą i dialektykiem, to znaczy myśleć naukowo, zupełnie tak samo jak w XVII i XVIII stuleciu być zwolennikiem Kartezjusza nie znaczyło zapisywać się do jakiejś szkoły czy sekty, tylko myśleć naukowo wbrew rutynie, scholastyce, przesądom i prześladowaniom przeszłości. W warunkach swego laboratorium uczony postępuje jak materialista, nawet jeśli nie zawsze jak materialista myśli. I wszyscy ludzie myśli, niezależnie od swej filozoficznej interpretacji prawdy, są zupełnie zgodni co do całości efektywnych metod i rezultatów, które mają znaczenie o ile przynoszą korzyść naukową. Dialektyka pozwala na zjednoczenie w harmonijną całość tego, co ma charakter objektywny dla wszystkich.

Dla tego właśnie „Encyklopedia Odrodzenia Francuskiego" jest otwarta dla wszystkich wolnych badaczy, dla wszystkich twórców, dla wszystkich, którzy kochają przyszłość".

Byłoby śmieszne żądać wyznania wiary od tych wszystkich, którzy chcą wnieść do dzieła swój udział. Każde prawdziwe odkrycie naukowe, czy techniczne, każde autentyczne dzieło sztuki znajdzie samorzutnie swe miejsce. Nie wolno narzucać myśli uczonego innego warunku prócz tego, by była prawdziwa, projektowi technicznemu, by był efektywny, dziełu artystycznemu, by było ludzkie.

Należy kontynuować Francję, nie pozbawiając jej żadnego z jej wymiarów duchowych". (Servir la France, Nr 6 Juillet 1945).

Idąc po linii tego ostatniego postulatu, inicjatorzy Nowej Encyklopedii, stojąc na gruncie materializmu dialektycznego, sięgają do wszystkich źródeł wielkości ducha francuskiego: do chrześcijaństwa, do tradycji romańskiej, do ducha krytyki i ironii francuskiej oraz do wzrostu historycznego klasy robotniczej, która stała się dziś motorem i kierownikiem postępowej energii narodu.

Sam ten gigantyczny plan Nowej Encyklopedii, która winna być zarazem bilansem naszej wiedzy i jej programem, autorzy stwierdzają, że „całość nie stworzy zamkniętego systemu", reprezentowanego przez wielkie tomy dogmatyczne, lecz pracę, która może być ciągle kompletowana, rewidowana, doskonalona, zwiększana zgodnie z rytmem odrodzenia narodowego".

Tyle o inicjatywie nowej „Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego".

ŚWIADECTWO WIELKIEGO UCZONEGO

Paul Langevin, światowej sławy uczony francuski, laureat nagrody Nobla, jest jednym z wielu zwolenników lewicy wśród elity umysłowej Francji. Zięć Langevina, młody uczony Solomon zginął z rąk okupanta w walce o lepsze jutro narodu francuskiego. Dziś sędziwy profesor Langevin wstąpił w szeregi komunistycznej partii Francji, tej partii, która kroczyła na czele narodu w walce przeciw niemieckim ciemięzcom, by zastąpić swego zięcia. Nazwisko Paula Langevina obok nazwiska Joliot - Curie oraz wielu innych nazwisk profesorów, pisarzy, artystów widnieje na czele spisu członków komitetu redakcyjnego „La Pensée". Na Manifest inicjatorów Nowej Encyklopedii Langevin odpowiedział artykułem „Działanie i myśl", w którym pisze między innymi:

„Jestem świadomy tego, że chwili do zapoznania się z podstawowymi ideami materializmu dialektycznego nie rozumiałem historii Fizyki. Doktryna ta, która stanowi kontynuację wielkiej linii filozoficznej myśli ludzkiej, jest sama rezultatem syntezy, rozpoczętej przed wiekiem przez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, mechanistycznego materializmu naszych filozofów francuskich XVIII stulecia i idealistycznej dialektyki Hegla. Jako filozofia zmiany, przystosowuje się ona w ogóle do ciągłej ewolucji świata, zarówno w dziedzinie myśli, by oświecać i kierować rozwojem naszej wiedzy i naszego działania, jak w dziedzinie samej przyrody.

W ciągu dwu stuleci, nasza wiedza i nasze najbardziej podstawowe pojęcia, rozpoczynając od umysłu a kończąc na materii, przeszły głębokie przemiany. Można z nimi porównać jedynie przewrót naszej techniki, pozostający w ścisłym związku i ciągłym współdziałaniu z rozwojem wiedzy. W momencie, gdy kraj nasz odradza się po kryzysie bez precedensu, chwila jest szczególnie korzystna, by przystąpić z perspektywy dwustu lat do sporządzenia inwentarza, który można porównać z tym, jakim kierował Diderot od swej młodości do dojrzałego wieku. Nicią przewodnią, która mo że nas prowadzić na drodze tego ciężkiego i długiego zadania, aby związać nas z wielką linią filozoficzną postępu ludzkiego, może być tylko materializm dialektyczny. By raz jeszcze połączyć myśl i czyn, inicjatorzy Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego pragną, żeby stała się ona punktem wyjścia dla ruchu, który po dwóch wiekach przerwy odnawia kierunek, poprzedzający naszą Rewolucję. Każdy winien się nad tym zastanowić i wnieść swój udział w miarę sił". (Servir la France, Nr 5 Juillet 1945).

Historia społeczeństwa burżuazyjnego, historia jego walki z feudalizmem, łączy się najściślej z historią myśli materialistycznej, w której jak w pryzmacie przełamywały się jego osiągnięcia i zwycięstwa. Od okresu Odrodzenia, siła i potęga burżuazji znajdowała swój wyraz w osiągnięciach materializmu. Najwspanialszym tego wyrazem jest materializm angielski XVII wieku oraz materializm francuski wieku XVIII-go.

Plejada materialistów francuskich XVIII wieku takich, jak Lamatrie, Holbach, Helvetius, Diderot, kontynuując z jednej strony fizykę Decartes'a z drugiej tradycje angielskiego materializmu Bacona, Hobbsa, Tolanda, a w pierwszym rzędzie Locke'a (za pośrednictwem Candillaca), stała się duchowym ośrodkiem Rewolucji Francuskiej. Rewolucja filozoficzna we Francji, idąca po linii wojującego materializmu, stała się poprzedniczką rewolucji politycznej. Klasy panujące zdawały sobie doskonale z tego sprawę i całą swą siłę zużyły na zwalczanie materializmu i ateizmu. Diderot wspomina o wypadku gdy za kupno dwu egzemplarzy książki Holbacha „Zdemaskowanie chrześcijaństwa" pewien młodzieniec został poddany wraz ze sprzedawcą książek i jego żoną publicznej chłoście i napiętnowaniu, po czym skazano go na 9 lat więzienia, kupca na pięć lat, a żonę jego na dożywotnie zamknięcie w klasztorze. Zrozumiałe staje się na tym tle prześladowanie kuźni myśli postępowej owego okresu — wielkiej Encyklopedii Francuskiej.

W 1751 roku wyszedł pierwszy tom Encyklopedii, która stała się najpoważniejszym społeczno - politycznym zjawiskiem nie tylko ówczesnej Francji, ale całej Europy. Duszą Encyklopedii był znany publicysta i filozof - materialista — Denis Diderot. Wraz ze znanym matematykiem D'Alambert'em, Diderot publikuje „prospekt Encyklopedii", w którym podkreśla wagę przemysłu oraz powiada, że los ludności robotniczej na wsi i w mieście winien być główną troską rządu. Wokoło Encyklopedii gromadzą się najpotężniejsze umysły ówczesnej Francji (Holbach, Wolter i inni), wykuwając nową, rewolucyjną ideologię, która podważyła fundamenty feudalizmu. W ciężkiej walce z reakcją, która stara się zdławić Encyklopedię udaje się wydać ją tom za tomem. W roku 1880 ukazał się ostatni tom. Jak potężny był wpływ Encyklopedii, świadczy fakt, że pojawia się w tym okresie szereg jej przekładów i przedruków za granicą. Encyklopedia, kontynuująca znakomite tradycje francuskiego i angielskiego materializmu, stała się ona kuźnią nowej, postępowej myśli, a jako zwiastun Rewolucji Francuskiej zajęła trwałe miejsce w historii rozwoju umysłu ludzkiego. Wielka Encyklopedia była rzeczniczką idei Rewolucji burżuazyjno - demokratycznej we Francji i w całej Europie.

Do tej rewolucyjnej tradycji Wielkiej Encyklopedii nawiązują inicjatorzy Nowej Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego.

Po dwustu latach nowe stoją przed ludzkością zadania, nowe posiada też ona metody badawcze. Ideałem społecznym, do którego doroślismy, nie jest obecnie ustrój burżuazyjno - demokratyczny, lecz ustrój socjalistyczny. Ten nowy ustrój uwarunkowany jest przez rozwój nauki i techniki. Dla ich badania posiada ludzkość nowy oręż ideologiczny — materializm dialektyczny, który zajmuje miejsce materializmu mechanicznego XVIII stulecia.

Autorzy Manifestu Nowej Encyklopedii wyrzekają się wszelkiego sekciarstwa i dogmatyzmu. „Być dziś materialistą i dialektykiem — piszą — to znaczy myśleć naukowo...". I to jest słuszne. I to świadczy o ich głębokiej wierze w siłę materializmu dialektycznego, jako narzędzia naukowego badania. I dlatego wierzą, że przy jego pomocy uda im się stworzyć „instrument intelektualny odbudowy Francji", równy swą siłą „arsenałowi ideologicznemu Rewolucji Francuskiej", jakim bez wątpienia była Encyklopedia.

MATERIALISMUS MILITANS

Był nim wojujący materializm XVIII wieku, którego wyrazicielką stała się Wielka Encyklopedia.

Jest nią — jak się okazuje — i współczesny materializm dialektyczny, którego wyrazicielką chce zostać Nowa Eucyplopedia.

Rewolucyjna rola materializmu dialektycznego jest powszechnie znana. Znany jest jej przodujący, progresywny charakter. I dlatego chciała ją zdusić reakcja. A potrafiła ona walczyć niemniej zdecydowanie niż reakcja XVIII w. Faszystowskie kazamaty, obozy koncentracyjne i szubienice w kozi róg zagnały XVIII wiek. A i nasi, polscy sędziowie, którzy potrafili w niesławne lata reżimu sanacyjnego dawać dziesięcioletnie wyroki na podstawie dowodu, jakim było posiadanie Manifestu komunistycznego", czy „Listów" Róży Luksemburg, niemniej zasługują na wyrok historii, aniżeli ci którzy, zasądzili owego młodzieńca za Holbacha. Próbowano i broni ideologicznej. Zalano rynek księgarski mgłą idealistyczną. Neokantyzm, neoheglianizm, niczeanizm, irracjonalizm przygotowały ideologicznie grunt dla faszyzmu. Ogłoszono materializm dialektyczny za przestarzały, próbowano go traktować jako przeżytek, i zniszczyć.

Ale materializm dialektyczny żyje. I gdy czyta się dumne słowa Manifestu, „być dzisiaj materialistą i dialektykiem, znaczy myśleć naukowo"; gdy czyta się wyznanie wiary sędziwego Langevina o znaczeniu materializmu dialektycznego, przychodzą na myśl powiedzenia Lenina, że „marksizm jest wszechmocny, ponieważ jest prawdziwy". Nowa Encyklopedia staje się dziś, w epoce zwycięstwa demokracji nad faszyzmem, wyrazem triumfu materializmu dialektycznego.

MATERIALIZM I POSTĘP

Projek Nowej Encyklopedii — jako głos wojującego materializmu dialektycznego — wykracza poza granice narodowe Francji, dia. Jest to wydarzenie, które niezależnie od dalszych losów projektu *musi* się odbić szerokim echem i u nas.

Zwycięstwo militarne mocarstw zjednoczonych nad zjednoczonymi państwami faszystowskimi jest pierwszorzędnej wagi wydarzeniem politycznym. Ale *nie tylko* politycznym. Zwycięstwo to zadało potężny cios międzynarodowej reakcji, zachwiało jej podstawami. Najlepszym tego dowodem jest potężna fala radykalizacji mas w całej Europie, przejawiająca się chociażby w ostatnich wynikach wyborów na kontynencie. To jest polityczna strona zagadnienia. Nie ulega jednak wątpliwości, że przełamuje się ona i w dziedzinie ideologicznej. *Zwycięstwo demokracji nad faszyzmem stworzyło potencjalną możliwość ideologicznego zwycięstwa materializmu nad idealizmem w umysłach ludzi.*

Nie jest to bynajmniej przypadkowe. Chociaż się przeciw temu bronią zwolennicy idealizmu, irracjonalizmu etc., właśnie idealizm i irracjonalizm *był ideologiczną bazą faszyzmu.* Wystarczy przyjrzeć się bliżej pracom takiego Rosenberga, Spenglera, Spanna, Gentile et tutti quanti, by się przekonać, jaka ideologia leżała u ich podstaw. Inaczej być nie mogło. *Tylko* irracjonalizm dostarczał argumentów obłędnej teorii faszystowskiej, która nie ma podstaw *racjonalnych.* Tylko idealizm służył za podstawę do rojeń o nadczłowieku, o rasie wybranej, o panowaniu nad światem, które nie mają *żadnej* podstawy materialnej. Idealizm i irracjonalizm stanowią podstawy światopoglądowe faszyzmu i w te podstawy uderzyć musi obóz postępu, opierający się o światopogląd materialistyczny, jeśli chce wykorzenić ze świadomości ludzi ideologiczne pozostałości faszyzmu. To jest gwarancją ostatecznego nad nim zwycięstwa, gwarancją, że nie zdoła się więcej odrodzić. To potężne zadanie staje dziś przed materializmem dialektycznym i czyni zeń *materializm walczący.*

Postępowa rola materializmu zaznacza się dziś nie tylko w Niemczech, we Włoszech, czy też we Francji. Nie mniejszą jest jego rola i u nas, jako środka walki, ideologicznej z rodzimą reakcją.

Pozostaje do wykonania poważna praca naukowa, polegająca na analizie naszej literatury społecznej ostatniego stulecia z punktu widzenia roli, jaką odegrał w niej światopogląd materialistyczny i idealistyczny.

Nie ma u nas tak silnych tradycji materialistycznych, jak np. we Francji. Na tle naszej rzeczywistości należy stwierdzić, że niestety nie mamy Langevinów i Joliot. Porównajmy te niesłuszne i bałamutne rzeczy, które się u nas pisywało o marksiźmie, z prostą wypowiedzią Langevina o materiaLiźmie dialektycznym, jako o współczesnej metodzie naukowej, by zrozumieć jak ogromne i trudne stoi przed nami zadanie. Zachwaszczenie ideologiczne z okresu poprzedniego, działanie okresu okupacji, wreszcie klerykalizm, który tkwi głęboko w naszym społeczeństwie, wszystko to są czynniki, które wymagają dla osiągnięcia zwycięstwa znacznie większego wysiłku, niż we Francji. A co zrobiono u nas w tym kierunku?

PROGRAM MINIMUM

Tu zaczyna się trudność. Należy stwierdzić jasno i wyraźnie, że nic prawie nie zrobiono, że wysiłek nasz jest znacznie mniejszy, niż za granicą. Istnieje wyraźna dysproporcja między naszymi osiągnięciami politycznymi i wysiłkiem ideologicznego ich zdyskontowania. I nie ulega wątpliwości, że naczelnym zadaniem całego obozu demokracji w chwili obecnej jest moralno-polityczna likwidacja faszyzmu. Poważnym krokiem na drodze ku temu celowi jest likwidacja ideologicznej jego podstawy — idealizmu. Zdaje się, że jasne. I zdaje się, że ta walka nabiera wyraźnie aktualno-politycznego charakteru, traci swój abstrakcyjny aspekt czysto filozoficznych sporów. Czy z naszej praktyki politycznej wynika zrozumienie tej prawdy? Nie.

Jest faktem, że więcej się pisze obecnie o marksiźmie i materiaLiźmie na prawicy, niż na lewicy. Prawica, sfery klerykalne rozumieją doskonale niebezpieczeństwo, grożące im w obecnej sytuacji na wypadek ofensywy materializmu. I zawczasu się bronią, oddając tym często mimowolną usługę materializmowi, któremu groziło by w przeciwnym wypadku przemilczenie.

W Polsce dwie partie — PPR i PPS — stoją na gruncie marksizmu, a tym samym na gruncie światopoglądu materializmu dielaktycznego. Przejrzyjmy literaturę periodyczną (nie mówimy już o gazetach, do których nie zgłaszamy o to pretensji) tych partyj i porównajmy ilość artykułów o marksizmie i jego światopoglądzie w tych organach z odpowiednią ilością artykułów na ten temat w „Tygodniku Powszechnym", „Tygodnik" odniósłby bezapelacyjne zwycięstwo. Świadczy to wyraźnie o niedociągnięciach w dziedzinie walki ideologicznej, szkodliwych zwłaszcza wobec skomplikowanego charakteru naszej sytuacji.

Nakazem chwili jest rozpoczęcie szeroko zakrojonej ofenzywy materializmu dialektycznego. Niestety, w naszej rzeczywistości nie ma mowy o „Nowej Encyklopedii". Zadania, które stoją przed nami są niemniej poważne, ale znacznie skromniejsze w swym zakresie.

Po — pierwsze, musi powstać organ, który stałby się ośrodkiem myśli materialistycznej i to ośrodkiem, przyciągającym inteligencję swym wysokim poziomem. Takiego organu jak dotąd nie ma. Wprawdzie różni nasi „przyjaciele" uznali i „Odrodzenie" i „Kuźnicę" za takie ośrodki, ale tak naturalnie nie jest. „Odrodzenie" jest pismem literacko - społecznym,

„Kuźnica" społeczno-literackim. W swoim zakresie służą sprawie demokracji. Ale zarówno ze względu na swój charakter, jak na cel, który sobie stawiają, nie są one takim poważnym ośrodkiem ideowotwórczym, jaki mamy na myśli. Musi to być organ, nowy, obszerny objętościowo miesięcznik, przy tym organ bezpartyjny. Podpisujemy się w pełni pod słowami „Nowej Encyklopedii", że było by śmieszne żądać wyznania wiary od tych wszystkich, którzy chcą wnieść swój udział w dzieło". Dziś, gdy myśleć materialistycznie i dialektycznie, znaczy myśleć naukowo, zacieśnianie organu wojującego materializmu ramami jednej partii było by z gruntu fałszywe.

Jakie zadania stoją przed takim organem? W pierwszym rzędzie rozwikłanie tych nieporozumień, które powstały w umysłach ludzi na skutek świadomej roboty reakcji. Należy zrekonstruować materializm dialektyczny, jakim jest w rzeczywistości, pokazać go społeczeństwu jako światopogląd i metodę par excellence naukową. Dziś, gdy każde odkrycie w dziedzinie przyrodoznawstwa, fizyki, chemii etc. stanowi dowód słuszności tego stanowiska, jest to zadanie stosunkowo nietrudne, jeśli odpowiednio podejść do jego rozwiązania.

Z tego zadania wynika jako konsekwencja potrzeba obalenia światopoglądu idealistycznego — we wszelkich jego przejawach. To zadanie negatywne łączy się organicznie z postawionym wyżej zadaniem pozytywnym.

Naturalnie, stworzenie organu oznacza zarazem i stworzenie odpowiedniego ośrodka ludzkiego, kształtowanie nowych kadr, co w dalszym rozwoju pozwoli na rozszerzenie bazy ofenzywy.

Tak wygląda w zarysie program minimum. Przy istniejących dziś możliwościach biorąc pod uwagę kadry, którymi dysponujemy, jest to zadanie *do spełnienia*. Jego realizacja winna się stać punktem honoru dla lewicy naszej inteligencji bez *względu na jej przynależność partyjną*.

PROGRAM MAXIMUM

Początki muszą być skromne, gdyż należy się liczyć z realnymi możliwościami. Ale nie wolno tracić z oczu szerszej perspektywy.

Nie bierzemy się do „Nowej Encyklopedii", nie posiadamy tych możliwości co Francja. Ale posiadamy możliwości, które historycznie mogą mieć dla sprawy postępu niemniejsze wrażenie.

Nie jesteśmy izolowani w świecie. Nie ma wprawdzie — może prócz Francji — na Zachodzie większych ośrodków myśli marksistowskiej, ale są poszczególni, bardzo poważni działacze. We Francji jest zespół „La pensée" który kontynuuje przedwojenne tradycje grupy „A la lumière du marxisme". Na Węgrzech jest europejskiej sławy filozof marksistiwski i krytyk literacki — Lukacs. W Czechosłowacji wybitny logik marksistowski — prof. Kolman. W Bułgarii znany filozof marksistowski, specjalsita w dziedzinie teorii poznania — Dosiew Pawłow, obecnie regent bułgarski. Są filozofowie marksiści w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Są tacy i w Polsce i w innych krajach, choć ich bliżej nie znamy. Działając w pojedynkę, gubią się, nikną wobec powagi tóg oficjalnej nauki, pod którymi kryje się często nicość. Powstaje w perspektywie zadanie ich zjednoczenia, zgrupowania dokoła jednego organu. I wtedy stalibyśmy się w zjednoczeniu potęgą ideową. Wiele względów przemawia za tym, by niezależnie od ośrodka radzieckiego, powstał taki ośrodek ideowy na Zachodzie. Nie my staniemy się tym ośrodkiem, ale możemy i winniśmy podjąć jego inicjatywę. To nie żadna „międzynarodówka", lecz zjednoczenie jednokierunkowych sił ideowych wokół jednego organu, jak w swoim czasie były Kant-Studien itp.

Takie szersze zgrupowanie sił ofenzywy materialistycznej — to nasz program maximum.

WNIOSKI

Próbowaliśmy naszkicować program pozytywny materializmu walczącego w naszej rzeczywistości. Wprawdzie pan Dzikowski w „Gazecie Ludowej" wyśmiewa się z naszych zapowiedzi i „programomanii". Ale jesteśmy spokojni. Śmiano się z nas, gdy braliśmy się do realizowania reformy rolnej, do rządzenia państwem, do nacjonalizacji przemysłu. Odpowiemy i dziś, że śmieje się dobrze ten, kto się śmieje ostatni. My jesteśmy ludzie uparci, o tym świadczy historia.

Powracamy do twierdzenia początkowego. Obecny moment historyczny stawia nas z punktu widzenia potencjalnych możliwości materializmu w niezwykle dogodnej sytuacji. Trzeba tylko chcieć i umieć ją wykorzystać. Otóż my *chcemy* ją wykorzystać, a co do naszych umiejętności, to aczkolwiek błędów zrobiono nie mało, potrafimy.

Zwycięstwo materializmu dialektycznego oznaczać będzie ostateczną, bo *ideologiczną* klęskę faszyzmu. To jest stawka o którą warto i należy walczyć.

Wysuwając hasło zwycięstwa materializmu dialektycznego, rozumiemy przezeń współczesną, naukową metodę, bijącą w to, co przestarzałe, co hamuje rozwój. Idąc naprzód, nie zamierzamy jednak rezygnować z niczego, co było pozytywne w naszej przeszłości. Ujmując syntetycznie całą naszą postępową tradycję, zamierzamy postawić ją na nowoczesnym gruncie naukowym, nie tracąc nic z tego, co było cenne. I dlatego też, mówiąc o materializmie walczącym musimy na zakończenie powtórzyć słowa Manifestu Nowej Encyklopedii:

„...Mówiąc o „materializmie dialektycznym" nie pragniemy narzucać dogmatycznie doktryny jakiejś „sekty"... Być dziś materialistą i dialektykiem, to znaczy myśleć naukowo, zupełnie tak samo, jak w XVII i XVIII stuleciu być zwolennikiem Kartezjusza nie znaczyło zaciągnąć się do jakiejś szkoły czy sekty, tylko — myśleć naukowo wbrew rutynie, scholastyce, przesądom i prześladowaniom przeszłości."

Adam Szaff

SEWERYN POLLAK

Godzina przekładu

W 1936 r. Franciszek Siedlecki, drukując w „Skamandrze" słynny swój później artykuł o przekładach z poezji rosyjskiej, zajął się jednym tylko niezmiernie ważnym zresztą zespołem zagadnień doboru przekładanego materiału, zagadnieniem artystyczno-ideologicznej postawy tłumacza. Pominął natomiast cały złożony zespół zagadnień techniki przekładu, uwzględniając go o tyle tylko, o ile łączył się on z pierwszym podstawowym założeniem artykułu i odkładając szczegółowsze zajęcie się tymi problemami na kiedyindziej. Niestety, wojna stanęła mu na przeszkodzie, a przedwczesna śmierć zniweczyła na początku drogi pracę tego znakomitego, jednego z rzadkich w Polsce, znawcy wiersza i jego teorii.

Jestem raczej praktykiem-tłumaczem niż teoretykiem, a uwagi poniższe zrodziły się na marginesie pracy nad redagowaniem wraz z Mieczysławem Jastrunem antologii poezji rosyjskiej. Dotyczą one pominiętych przez Siedleckiego zagadnień samej teorii przekładu, techniki, całego zespołu czysto formalnych problemów, przy rozważaniu których ideologiczna postawa tłumacza nie będzie nam jednak obojętna. Obecnie, w okresie wzmożenia się zainteresowania poezją rosyjską sprawy te nabierają specjalnej ważności.

PRZEKŁAD CZY TRANSPOZYCJA?

Co to jest przekład? Przekład w stosunku do oryginału jest to utwór literacki, będący odtworzeniem oryginału w innym materiale językowym. Przekład odrywa utwór od jego rodzimego podłoża językowego, literackiego i społecznego i przenosi go w inną sferę wyobrażeniową, leksykalną, w inny układ syntaktyczny i dźwiękowy. Tłumacz, który by zechciał bezpośrednio przenosić z obcego języka np. choćby tylko szyk wyrazów utworu tłumaczonego, stworzyłby z przekładu dziwoląg. Utwór literacki jest koordynatem całego szeregu ściśle związanych ze sobą elementów i dokładne ich odtworzenie w innym materiale słownym jest najczęściej niemożliwe. Rzeczą tłumacza jest zdanie sobie sprawy z hierarchii tych elementów, wybór i podkreślenie najważniejszych z ewentualnym pominięciem czynników wtórnych, mniej istotnych. Zależnie od ilości uwzględnionych przez tłumacza istotnych dla danego utworu literackiego elementów mówimy o przekładzie wiernym, dowolnym, czy o transpozycji utworu, który staje się jedynie kanwą dla własnych wariacyj, czy tekstowych czy też ideologicznych, a zniekształcenia ideologiczne zdarzają się często, jak o tym będziemy mówić, również i przy przekładach pozornie wiernych.

Julian Tuwim, mówiąc o przekładzie, wyraził się obrazowo, że przekład winien „wskazywać tę samą godzinę co oryginał". Sądzę, że należy to rozumieć w ten sposób, że przekład, oparty na możliwie największej ilości tych samych, a raczej podobnych elementów formalnych, zawartych w oryginale, winien być wierny ideologicznie.

Do elementów formalnych, które bezwzględnie muszą być zachowane przy przekładzie poetyckim, jeśli mamy mówić o przekładzie wiernym, należy przede wszystkim obrazowanie i właściwe danemu poecie słownictwo, w następnej dopiero kolejności metr i rytm oryginału. Jeśli te zasadnicze cechy oryginału nie zostaną uwzględnione przez tłumacza, możemy mówić wyłącznie o transpozycji poetyckiej na język obcy, lecz w żadnym wypadku nie nazwiemy tego przekładem.

PRZEKŁAD ADEKWATNY

Krytyka radziecka wprowadza pojęcie przekładu adekwatnego. Stawiając postulat, że odtworzenie oryginału z punktu widzenia dokładnego przekazania sensu, nasycenia emocjonalnego i ukształtowania leksykalnego jest niemożliwe, żąda by przekład oddawał ideowo-emocjonalne i estetyczne walory oryginału. A. Smirnow twierdzi, że za adekwatny należy uznać taki przekład, w którym „oddane zostały wszystkie zamierzenia autora (świadome i nieświadome) w sensie określonego ideowo-emocjonalnego artystycznego oddziaływania na czytelnika z zachowaniem w miarę możności drogą dokładnych ekwiwalentów czy przekonywujących substytutów (podstawień) wszystkich zastosowanych przez autora sposobów obrazowania, kolorytu, rytmu itp, te ostatnie jednak powinny być traktowane nie jako cel sam przez się, lecz tylko jako środki dla osiągnięcia ogólnego efektu."

PROZĄ CZY WIERSZEM?

We Francji, jak wiadomo, przyjęło się tłumaczenie wierszy prozą. Nie będziemy tu wyłuszczać przyczyn tego zwyczaju, stwierdzimy tylko, że i w innych językach, między innymi i u nas nieraz powstawało zagadnienie, czy nie lepiej było by tłumaczyć wiersze prozą. Zwolennicy przekładu prozaicznego wskazywali na nieuchronną niewierność słowną każdego przekładu, gdy jest on skrępowany rytmem i rymem. Charakterystyczna jest w tym wypadku wypowiedź Goethego w „Warheit und Dichtung": „Cenię rytm zarówno jak rym, poprzez które poezja staje się właściwie poezją. Lecz prawdziwa głębia i istotna rzeczywistość, pierwiastek twórczy i rozwijający — to jest to, co pozostaje z utworu poety, gdy go przetłumaczono prozą. Pozostaje wówczas czysta, pełna treść..."

Niemniej jednak, gdy uprzytomnimy sobie, że rytm w wierszu, a także i rym są ściśle związane z emocjonalnym zabarwieniem wiersza, że słowo i rytm zespolone są w określonym wierszu określonym powinowactwem, powinowactwem bardzo często nawet treściowym, gdyż odpowiedni rozkład akcentów (logicznych czy metrycznych nawet) pociąga za sobą niejednokrotnie w oryginale odpowiedni dobór słów, zrezygnujemy z pozornego ułatwienia przekładu prozą i będziemy usiłowali rozwiązywać tę szaradę na innej płaszczyźnie.

I wtedy przyznamy rację staremu opatowi Delillowi, który w przedmowie do przekładu „Georgik" Wergilego pisze: „...wierność prozaicznego przekładu wierszy jest zawsze bardzo niewierna..."

JAKĄ MIARĄ?

A więc wiersz tłumaczymy wierszem. Zachodzi jednak pytanie, czy tą samą czy też inną miarą? Innymi słowy: hetero- czy izo-rytmicznie? Niedawno A. Ważyk w artykule „O tłumaczeniu wierszy rosyjskich" drukowanym w „Kuźnicy" przestrzegał przed zbyt niewolniczym kalkowaniem jambów rosyjskich, zwłaszcza pięciostopowych, twierdząc, że pięciostopowy jamb rosyjski posiada inne obciążenie emocjonalne i że jedynym jego odpowiednikiem w języku polskim może być jedenastozgłoskowiec sylabiczny. Jednocześnie Ważyk twierdzi, że siatka akcentów rozciągnięta wzdłuż w wierszu jambicznym polskim wytwarza napręż enie techniczne i że „zniekształca stosunek między formą metryczną a kanwą uczuciową..."

Stanowisko to wynika z mniemania, iż jamb czy to cztero- czy pięciostopowy obcy jest właściwie poezji polskiej i że zawędrował do nas drogą tłumaczeń, zwłaszcza z rosyjskiego. Tymczasem rzecz się ma inaczej. Liczne przekłady jambów pięciostopowych znajdujemy już w „Psalmach" Kochanowskiego (W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny, Nadzieję kładę: ty racz o mnie radzić), na kanwie czterostopowego jambu zbudowany jest Chorus w „Odprawie posłów greckich":

Swar był początkiem i niezgoda
Twego małżeństwa, Pryjamicze:
Nie śmiem źle tuszyć, nie śmiem, ale
Ledwie nie takiż koniec będzie.
Niechajże się ja, można Cypry,
Ni nacz cudzego nie zapatrzam... itd.

Lecz jeśli wiersze jambiczne Kochanowskiego można uważać za eksperyment, od czasu romantyków, od czasu wprowadzenia do poezji polskiej sylabotoniki jamb obok anapestu (t. zw. strofa mickiewiczowska) zyskuje sobie pełne prawo obywatelstwa.

Mickiewicz stosuje czterostopowy jamb i to nawet z męskimi rymami z średniówką na drugiej stopie w scenie balu w III-ej części „Dziadów", wzmacniając tym dynamikę tej sceny.

Spotykamy jamby u Mickiewicza również i w wierszach lirycznych, np. „Słowiczku mój, a leć a piej" czy też sześciostopowy z średniówką na trzeciej stopie „Świeci się pomnik mój nad szklany Puław dach", który będąc naśladownictwem Horacego, dokładnie przypomina rosyjski aleksandryn, że przypomnę tu puszkinowskie posłanie do cenzora: „Ugriumyj storoż, muz, gonitiel dawnij moj!".

Nie obce są układy jambiczne Słowackiemu. W „Księciu Niezłomnym" znajdujemy taką na przykład partię jambiczną:

Piękna! W wołaniach imię zmień,
Ja ci odpowiem, lutni słodka!
I oko twoje mnie napotka,
Boś ty jest słońce, ja twój cień.
Za tobą chodzę nakształt chmur,
I słysząc echo twego głosu,
Wołanie twoje, zszedłem z gór...
Co dumasz?

W fragmencie tym w odróżnieniu od mickiewiczowskiej sceny na balu u Senatora średniówka pada nie po drugiej stopie, lecz w połowie trzeciej, przez co zmienia się jamb czterostopowy funkcjonalnie, nabierając innego zabarwienia emocjonalnego. W dalszych wywodach powrócę do tej uwagi, która ma znaczenie zasadnicze.

Romantycy stosują jednak wiersz jambiczny raczej przypadkowo, szerokie zastosowanie znajduje on dopiero u Norwida. Np. w wierszu „Malarz z konieczności" Norwid w ten sposób modyfikuje pięciostopowiec jambiczny:

Pani — mam mówić z nią o rytmie sił,
Które sprawiły planet korowody,
Każe mi podać wina — abym pił,
Cukru i wody —

Inowacją jest tu przesunięcie średniówki i skrócenie ostatniego wiersza do dwóch stóp, przez co osiąga się płynność toku wierszowego, a jednocześnie skrót działa jak zaskoczenie, spointowanie.

W poetyce Młodej Polski jamby w przeróżnych odmianach są jedną z najczęściej stosowanych miar i to nie tylko w drobnych lirykach, lecz i w dramacie, że przypomnę tu zwłaszcza „Zygmunta Augusta" Wyspiańskiego, czy też popularny wiersz Tetmajera „Na Anioł Pański biją dzwony".

Wróćmy teraz do zagadnień przekładu. Jeśli chodzi o historię przekładów poetyckich polskich z języka rosyjskiego, to do tradycji należało transponowanie rosyjskich wierszy jambicznych na wiersz polski sylabiczny. Bodajże tradycję tę zapoczątkował Mickiewicz przekładem puszkinowskiego „Przypomnienia". Świetny, a mało u nas znany jako tłumacz, Syrokomla, tłumacząc poemat Rylejewa „Wojnarowskij", pisany w oryginale czterostopowym jambem, znajduje dlań odpowiednik w jedenastozgłoskowcu sylabicznym. Tę samą operację przeprowadza Syrokomla na przekładzie poematu Lermontowa „Mcyri" i Niekrasowa „Na Wołdze".

Jakież niebezpieczeństwo kryje w sobie tego rodzaju zmiana już nie tylko systemu wersyfikacyjnego, lecz i rozciągnięcie ośmiozgłoskowca rosyjskiego o męskim spadku na jedenastozgłoskowiec? Jest to niebezpieczeństwo „waty". Tłumacz musi czymś wypełnić „puste miejsca", a ponieważ tych „próżni rytmicznych" będzie więcej jeszcze niżby się wydawać mogło, gdyż słowa rosyjskie są w stosunku do polskich dłuższe (wystarczy przypomnieć proces upełnodźwięcznienia w języku rosyjskim: krowa — korowa, brzoza — bierioza itp.), utwór poetycki w przekładzie polskim z konieczności musi być „uzupełniany" przez nieistniejące w oryginale epitety, a nawet obrazy.

Dwa cytaty niech starczą za przykład takiej roboty. Lermontow po polsku w przekładzie Syrokomli:

Starcze! słyszałem, żeś mi zbawił życie,
Po coś to uczynił? — by trzymać w uwięzi?
Liść z macierzystej oderwan gałęzi
Dla czego jeszcze do ziemi szcze[illegible]
Co miało uschnąć, niech marnie [illegible]
Raczej niż zwolna na zawię[illegible]

Ocalić dziecię i skazać na mn[illegible]
Czyż to nie znaczy zabić je na [illegible]

Nikogo tutaj nie mogłem, nikogo
Nazywać ojcem albo matką drogą.

Lermontow w oryginale:

Starik, ja słyszał mnogo raz,
Czto ty mienia ot smierti spas, —
Zaczem?... Ugrium i odinok,
Grozoj otorwannyj listok,
Ja wyros w sumracznych stienach,
Duszoj ditia, sud'boj monach.
Ja nikomu nie mog skazat'
Swiaszczennych słow „ot ec" i „mat'".

Przykład, jak sądzę, nie wymaga komentarzy. Jeśli nawet dodanie dwóch wierszy zwalimy na niezręczność tłumacza, to i tak musimy przyznać rację Ważykowi, który twierdzi, iż w tym wypadku jedenastozgłoskowiec jest ubraniem na wyrost.

A więc, jak już i Ważyk to stwierdza, czterostopowy jamb rosyjski zachowa w języku polskim miarę oryginału.

Idźmy dalej. Jak tłumaczyć jamb pięciostopowy? Ważyk proponuje dopiero w tym wypadku użycie jedenastozgłoskowca sylabicznego, aby nie zakłócać wiersza „naprężeniem technicznym". Lecz kiedy można mówić o „naprężeniu technicznym"? Gdy tok jambiczny przypomina kawalkadę koni cwałujących po asfalcie, gdy ze względu na słabszy, bo stały akcent wyrazowy w języku polskim, akcent wierszowy, wzmacniając go, zbytnio, jak to się mówi wali w łeb. Otóż, aby uniknąć wrażenia tupotu kopyt końskich wystarczy przesunąć średniówkę z drugiej stopy na trzecią, lub też znieść ją zupełnie. Zmiany w umiejscowieniu średniówki wywołują jednocześnie głębokie zmiany w zabarwieniu emocjonalnym wiersza, jak to widzieliśmy na przykładach oryginalnych jambów polskich.

Dotyczy to zresztą nie tylko wiersza polskiego. Puszkin w uwagach do „Borysa Godunowa" pisze: „...Zachowałem średniówkę francuskiego pentametru na drugiej stopie i, mam wrażenie, popełniłem błąd, pozbawiając dobrowolnie wiersz swój właściwego mu urozmaicenia". Błędu tego uniknął, pisząc w pięć lat później swoje „Sceny dramatyczne", w których średniówka nie ma już stałego miejsca.

Dlaczego jednak upierać się w przekładzie przy jambie? Tam, gdzie mamy do czynienia z pięciostopowym jambem, zwłaszcza w utworach lirycznych rymowanych— można dopuścić przekład wierszem sylabicznym, choć nie jest to konieczne przy zachowaniu warunków o zmiennym umiejscowieniu średniówki. Natomiast uważam za konieczne stosowanie w przekładzie polskim pięciostopowego jambu przy wierszach białych, gdyż ścisły rozkład akcentów stanowi tu więź rytmiczną, na której wspiera się cała budowa wiersza, niewspartа rymem.

Tak czy inaczej, jeśli zwolennicy tłumaczenia rosyjskich wierszy jambicznych polskim sylabowcem, mają pewne podstawy w tradycji, choć moim zdaniem drugi ich argument o niezastosowalności jambu w prozodii polskiej nie wytrzymuje krytyki, to w każdym razie w tej dziedzinie istnieją pewne ustalone normy. Nie ma takich norm i być nie może przy innych rozmiarach — anapest zawsze będziemy tłumaczyli anapestem, daktyl — zawsze daktylem. Pewne wątpliwości powstają przy wierszach tonicznych. Tonika w ogóle ze względu na stałość akcentów w języku polskim nie jest właściwa naszej poezji. Sądzę, że w tym wypadku należy, tworząc swoisty bądź co bądź eksperymentalny wiersz toniczny, oprzeć się na wzmacniającym akcent wyrazowy akcencie logicznym.

Eksperymenty w rodzaju zamiany daktylicznego wiersza w „Kolei żelaznej" Niekrasowa na skoczny, alternowany czterotrzystopowy trochej, jak to uczynił Wiktor Gomulicki są niedopuszczalne.

„Śliczna jesień! Wietrzyk dmucha. Zimny ale świeży" pomijając już nieścisłości tekstowe bynajmniej nie jest odpowiednikiem szerokiego, poważnego toku: „Sławnaja osień! Zdorowyj, jadrionyj Wozduch usłałyje siły bodrit", a przecież mogła J. Hartmanowa dla lermontowowskich „chmur" — „Tuczki niebiesnyje wiecznyje stranniki" w bynajmniej zresztą nieświetnym pod innymi względami przekładzie znaleźć odpowiednik rytmiczny: „Chmurki n'ebieskie, błądzące po świecie".

Tak mści się źle pojęte prawo do heterorytmicznego przekładu.

ŚPIEWAJĄCA MARCHEW

Jeśli w zagadnieniu równo czy różnorytmicznego przekładu nie zawsze zgadzałem się z Ważykiem, to obu rękami podpisuję się pod jego tezami o zastępowaniu rosyjskich rymów męskich żeńskimi. Pokrótce zatem streszczę tu wywody Ważyka.

Rym męski w poezji zdarza się stosunkowo rzadko. Wynika to z małej ilości słów jednozgłoskowych w języku polskim [illegible]ktu, że ze względu na stałe umiejscowienie akcentu na przedostatniej zgłosce, [illegible]azach wielozgłoskowych nigdy pomocna nie przypada na ostatniej [illegible]. Inaczej rzecz ma się w języku rosyjskim, który ma zmienny akcent. Tam akcent pada równie często, jeśli nie częściej na zgłoskę ostatnią jak i na inne.

Mechaniczne odtwarzanie rymu męskiego w przekładach polskich odwraca proces pracy tłumacza — od zagadnień transpozycji semantyki i obrazowania wiersza do układania szarad opartych na elemencie wtórnym, jakim jest bezwątpienia rym. I rację ma Ważyk, gdy mówi: „Przedtem szuka się rymu, a potem kształtuje się tekst. Ubóstwo rymów męskich w polszczyźnie ogranicza mowę, myśl, obrazowanie, wszelkie środki przekładu, stawia tłumacza wobec oryginału w sytuacji ubogiego krewnego. W zamian za wyrzeczenie tłumacz uzyskuje męski rym. Czy uzyskał przez to odpowiednik oryginału? Czy gra warta świeczki?".

Gorzej, gdy niewolnicy rymów męskich w pogoni za nimi albo stwarzają dziwolągi, albo też po prostu fałszują tekst. A zdarza się to nie tylko szeregowym tłumaczom, lecz równie często i wybitnym. Przekład „Lisa" Jesienina, dokonany przez Leonarda Okołów-Podhorskiego od dawna wszedł do literatury polskiej, stał się przekładem kanonicznym. I słusznie, gdyż Podhorskiemu, jak mało komu spośród licznej rzeszy tłumaczy-jesieninowców udało się w wierszu tym odczuć i odtworzyć ton oryginału.

A jednak w poszukiwaniu rymu męskiego zaszedł tłumacz na takie manowce: w oryginale Jesienin mówi, że umierający lis czuł w pysku jak gdyby smak zgniłej marchwi, przy czym morkow, z przyciskiem na ostatniej zgłosce rymuje się z krow' (krew). Podhorski chcąc zachować końcowy obraz („A zmruż oczu zalewała zwolna krew"), obraz zresztą ogromnie ważny jako pointa wiersza, rymuje: „W pysku posmak — niby marchwi zgniłej *śpiew*". Imażynista Jesienin mógł co prawda zdobywać się na przeróżne dziwolągi, lecz śpiew zgniłej marchwi to już nawet jak na niego zbyt wiele.

Inny przypadek, znów u dobrego na ogół tłumacza. Włodzimierz Słobodnik tłumaczy wiersz Bielego „Z okna wagonu" i posłuszny dyktatowi męskiego rymu dorabia bezsensowny, niczym nie związany z treścią wiersza obraz: „Lecą pola wilgotne, mgliste.. Lecą w śmierć i w tej dali miedź". A miedź znalazła się tu tylko dlatego, że w wygłosie poprzedniego wiersza stojąca „śnieć" tak zagarnęła tłumacza, że dał się w nią uwikłać.

Przykłady można by mnożyć ad infinitum, brak miejsca nie pozwala na to, a szkoda, gdyż niektóre są bardzo zabawne.

Wniosek jest jeden: ostry tupot cwałujących męskich rymów zbyt długo już zmusza tłumaczów do lekkoatletycznych wyczynów uganiania się za nimi.

DZIUBACZE W PISTOLECIE

Są tłumacze pełni dobrych chęci, którzy bardzo oburzyliby się na zarzut zniekształcania czy też, broń Boże, fałszowania tekstu lub choćby intencji oryginału. Zły przekład, jak każdy przekład, jest wynikiem starcia się całego szeregu współczynników, przy czym wystarczy albo niezrozumienie tekstu albo też nieumiejętność dobrania właściwych odpowiedników słownych i dźwiękowych, aby właściwie odwzorowane inne elementy zostały, jak to się mówi, „położone".

W jednym z najbardziej tragicznych wierszy Bloka, którym lubowali się notabene białogwardyjscy oficerowie w czasie gdy Armia Czerwona spychała ich na Krym, jest taka strofa: „Wsie na swietie, wsie na swietie znajut: Sczastia niet. I kotoryj raz w rukach szimajut Pistolet!" A. K. Jaworski tłumaczy to: „Wszyscy wiedzą wszyscy wiedzą — szczęście, Niema go na świecie. Zaciskają nieraz groźne pięści, Dłubią w pistolecie!"

Pomijam już, że „w rukach szimajut" (zaciskają w ręku, w dłoni) to nie jest to samo, co „zaciskają *groźne pięści*", że zmieniony tu został obraz, nastrój, charakter wiersza — chciałbym tylko wiedzieć po co, w jakim celu na miłość boską dłubią w pistolecie? Dziwna i niezdrowa zabawa!

Nie miejmy jednak za złe Jaworskiemu, „dłubaczami w pistolecie" jesteśmy poniekąd wszyscy — nie ma bodaj tłumacza, któremu nie zdarzyła się gaffa czy to w zrozumieniu tekstu czy niezrozumieniu intencji autora. Nawet Tuwimowi w najlepszym jego przekładzie, w puszkinowskim „Jeźdźcu Miedzianym" zdarzyło się potknięcie. Puszkin opisując wylew Newy, mówi: „Sadki pod mokroj pielenoj"; wyraz sadki oczywiście znaczy po rosyjsku „sadze na ryby", Tuwim zrozumiał to jako ogródki, czy sady, a zrozumiawszy w ten sposób, zmuszony był zmienić całkowicie obraz. Jasne, że nie wpłynęło to w najmniejszym stopniu na wartość tego bodaj, że najlepszego, można by tu bez przesady powiedzieć kongenialnego przekładu z poezji rosyjskiej. A jeśli tego rodzaju potknięcie zdarzyło się Tuwimowi, cóż tu mówić o pomniejszych tłumaczach.

Zresztą groźniejszą rzeczą jest niezrozumienie intencyj poety, przeinaczanie jego stylu, niewżycie się w epokę, albo też przestylizowanie, równie częsta choroba tłumaczy.

„Wenecja" nie należy do najświetniejszych wierszy Bloka. Jej deklamacyjna nastrojowość zbyt już jest może drażniąca, jak na nasze dzisiejsze odczuwanie. Jednak i tu dekadencki, symbolistyczny nastrój apercypujemy poprzez bardzo uchwytne, konkretne realia. „W cieniu pałacowej galerii, ledwo oświetlona księżycem, kryjąc się przechodzi Salome z mą krwawą głową. Wszyscy śpią—pałace, kanały, ludzie, i tylko chwiejny krok widziadła, i tylko głowa na srebrnej misie (poeta mówi o sobie jako o Janie Chrzcicielu) patrzy z tęsknotą w okoliczny mrok".

Kazimierz Wierzyński, tłumacząc dwie ostatnie przytoczone tu prozą strofy „Wenecji" każe przechodzić Salome „poprzez galerie wpół-widmowe" i trzymać krwawą głowę „w splocie rąk", a więc przyciskać do piersi. Konsekwencje tego są dziwne — wypadły z przekładu pałace i kanały śpiące, zamiast nich zjawiła się „noc bezcelowa", czyli Błok został tu pomnożony przez Bloka, ale tego najgorszego, gdzieś podziała się srebrna misa, a odcięta głowa spoza oplotu rąk Salome „z tęsknotą patrzy z nudy w zmrok". Tak — nieświadomie zapewne, — tłumacz, cierpiący na skamandrycki spleen, spłycając wiersz, kazał nudzić się odciętej głowie poety — Jana Chrzciciela. „Skuczno na etom swietie, gaspada!", jak mówił Gogol.

FAŁSZERZE

Stąd, od przeinaczeń, od zmiany obrazów, od zmiany atmosfery — jeden tylko krok do fałszerstw ideologicznych. Tłumacz, należąc do określonej grupy literackiej, a tym samym społecznej, świadomie czy nieświadomie przesiąka kanonami estetycznymi swego środowiska i tłumacząc utwór pisarza reprezentującego obcy mu układ społeczno - estetyczny, pomimo woli właściwości stylistyczne danego autora, będące produktem środowiska, które go wydało, które reprezentuje — dostosowuje do swoich własnych. Znany krytyk rosyjski, Korniej Czukowskij w pracy swej o sztuce przekładu mówi, że „taką walkę z oryginałem dostrzegamy za każdym razem, gdy pisarz należący do jednej warstwy socjalnej, tłumaczy utwory pisarza, należącego do innej społecznej warstwy" i posuwa się do twierdzenia, że tłumacz „właściwie tłumaczy sam siebie, to znaczy odzwierciedla w swym przekładzie swe oblicze społeczne".

Oczywiście wybór autora, a nawet określonego utworu do tłumaczenia nigdy nie jest bez kozery — odgrywa tu rolę zarówno tak zwane zapotrzebowanie społeczne" jak i zainteresowanie tłumacza. W danym okresie historycznym powstaje zainteresowanie obcym pisarzem czy to na drodze analogii, to znaczy, że obcy pisarz reprezentuje te aktualne w danej chwili tendencje, które na innym terenie zapanowały wcześniej — czy też prawem kontrastu. I nie było doprawdy dziełem przypadku, gdy w okresie okupacji zaczytywano się „Wojną i pokojem" Lwa Tołstoja, a jednocześnie gdy w tym czasie zastałem jednego z moich przyjaciół zaczytanego w „Księciu" Macciavelego.

W jednym i w drugim przypadku tłumacz narzuci utworowi tłumaczonemu swoją interpretację, odzwierciedli w przekładzie swój stosunek do utworu, swą postawę estetyczną, swój styl, swoje chwyty i nawyki literackie. Mowa tu oczywiście o utworach żywych, wywodzących się z okresów społeczno-literackich, które tak czy inaczej jeszcze na nas wpływają. Przy przekładach utworów starych, „klasycznych", tłumaczowi znacznie łatwiej jest zdobyć się na obiektywizację i osoba jego schodzi na drugi plan.

W tym świetle bardziej zrozumiałym staje się fakt, że Syrokomla tłumaczy Niekrasowa i Rylejewa, że Kołoniecki tłumaczy Valeryego a nie Aragona, a Tuwim w okresie przygotowywania „Lutni" Puszkina na marginesie tej pracy sięga do społecznych wierszy Niekrasowa i A. K. Tołstoja, a nie Jesienina. W swoim czasie Siedlecki w wspomnianym na wstępie artykule pisał, że poecie-tłumaczowi, który ma do czynienia z gotowym, pełnym obrazem artystycznym „stokroć łatwiej symulować jakąś postawę duchową w tłumaczeniach niż we własnej poezji". Z drugiej jednak strony — pisze Siedlecki — w chwili szczerości, przy zrezygnowaniu z blagi, przy pofolgowaniu ukrytym chęciom, właśnie w doborze tekstów przez tłumacza w całej pełni ujawnia się niczym już niezamaskowane... i nieprzesłonięte duchowe oblicze tłumacza. Toteż kto wie, czy taki np. tom przekładów Łobodowskiego nie mógłby się w swoim czasie stać prawdziwą wróżbą co do jego późniejszych ideologicznych przemian."

Podrozdział ten zatytułowałem „Fałszerze", Siedlecki w cytowanym zdaniu wymienia nazwisko Łobodowskiego. Właśnie prace Łobodowskiego jako tłumacza można bez przesady zakwalifikować jako fałszerstwo ideologiczne, właśnie ten tłumacz daje jaskrawe tego przykłady.

Lermontow w wierszu „I skuczno i grustno" powiada: „Spojrzysz w głąb siebie — Tam niema przeszłość ni śladu: i radość i męki, wszystko nic warte". Łobodowski tłumaczy: „W głąb serca gdy spojrzysz, — tam ślady przeszłości zatarte wszystko *wydaje się bajką urojoną*."

W „Jambach" Błoka, jednym z najpiękniejszych, a przy tym najmocniejszych pod względem społecznym cyklów, gdzie Błok wylewa całą swą gorycz, gdzie każde zdanie jest palącym oskarżeniem, mówi poeta, rozumiejąc dialektykę historii: „Nienaprózno sławi każde pokolenie śmiertelnie znieważony geniusz. I wszyscy, jak on, znieważeni są w swych sercach, sercach śpiewnych. I wszystkim święty miecz wojny jaśnieje w nieuniknionych chmurach." Co z tego robi Łobodowski?

„Nienadaremnie *podły świat znieważa* gniewny głos Geniusza. Wszyscy jak on, wpatrzeni w zwid idących czasów, cicho drzemią. Im wszystkim ostrza świętych dzid zwiastują wojną ponad ziemią."

U Błoka geniusz jest śmiertelnie znieważony, lecz sławi każde pokolenie. Ale Błok jest humanistą, Senator Łobodowski jest piłsudczykiem i dlatego u niego gniewny głos geniusza znieważa podły świat. A że dalej u Błoka wszyscy są znieważeni w swych sercach, to Łobodowskiego nie obchodzi. On pragnie by wszyscy, „wpatrzeni w *zwid* idących czasów", cicho drzemali. Tego pragnęli w swoim czasie wszyscy zwolennicy faszystowskich dyktatur. Z drzemki tej wyrwały nas pierwsze bomby we wrześniu 39-ego roku.

Czy jeszcze mnożyć przykłady „bajek ułudnych"? Ta łzawość, to rozmazywanie obrazów, jak widzimy, była wyraźnie determinowana. Zdarza się Łobodowskiemu co prawda wręcz przeciwnie — tromtadratyzowanie utworu poetyckiego, ale i to ma przecież swoje wyraźnie określone determinanty społeczne.

TEORIA EKWIWALENTÓW

Pisze Łobodowski w posłowiu do tomu „U przyjaciół": „Przekładając, nie zawsze *przestrzegałem wierności*... Tam, gdzie zbyt *pedantyczna wierność* nadwyręża wartość utworu, nie należy krępować się tym mało przekonywującym postulatem." A dalej, omawiając metodę swej pracy, mówi: „Chcąc zachować piękny obraz... oraz męski rym (!) musiałem zmienić metaforę..." Zwracam uwagę na contradictio in adjecto — chcąc zachować obraz, zmienia się metaforę, chcąc przebudować dom burzy się go do fundamentów. Wtedy, gdy wierność obrazu poetyckiego, jak już pisałem, — jest zasadniczym warunkiem przekładu. I oto dochodzimy do ostatecznych wyników tego rodzaju postawy wobec materiału tłumaczeniowego. Spowiada się Łobodowski dalej: „Tłumacząc „Dwunastu" natrafiłem na zaporę nie do przebycia... Umieściłem więc przekład wybranej dowolnie piosenki ludowej o podobnej treści i niemal identycznym rytmie. Pozostała ta satysfakcja, że źródło było wspólne." Tłumacz, który rozumuje w ten sposób, przestaje być tłumaczem.

PRAKTYCZNIE DOBRZE TEORETYCZNIE ŹLE

Celowo zatrzymałem się nieco dłużej nad wstępem do przebrzmiałej już, a będącej dziś rzadkością bibliograficzną książki Łobodowskiego gdyż z podobnych założeń wyszedł Artur Sandauer, przekładając ostatnio poemat „Dobrze" Majakowskiego. Jest to pierwsza książkowa pozycja powojenna w dziedzinie przekładu i dlatego, a także i ze względu na omawiane tu podejście teoretyczne należy rozważyć ją bardziej szczegółowo. Sandauer w rozwinięciu teorii ekwiwalentów poszedł dalej jeszcze niż Łobodowski.

„Tłumacząc „Dobrze", starałem się stworzyć poemat samoistny, jaki napisałby Majakowski po polsku. By zbliżyć oryginał do czytelnika, spolszczyłem tu i ówdzie nie tylko tekst, ale potrosze i tło historyczne, unikając przy tym anachronizmów lub zwyczajnych fałszów."

Tak wygląda pierwsza część teorii Sandauera o „twórczości zastępczej". W praktyce tam, gdzie tłumacz zapomina o swym założeniu — daje dobry, pełnowartościowy przekład, z którego doprawdy możemy wyrobić sobie pojęcie o poemacie. Gorzej, gdy od czasu do czasu przypomina sobie, że ma tłumaczyć „tak, jakby pisał Majakowski po polsku". Po pierwsze jest to założenie ahistoryczne, wybitnie niedialektyczne. Trudno wyobrazić sobie jak pisałby w obcym języku poeta, którego tworzywo poetyckie ściśle było zrośnięte z tradycją i brzmieniem rodzimego języka. Temperament pisarza a materiał języko-

wy, w którym tworzy — to nie są rzeczy łatwe do rozłączenia. Po drugie: gdyby Majakowski pisał nawet po polsku i napisał zamiast:

Ech, jabłoczko,
cwieta jasnowo.
Biej
sprawa
bieławo,
slewa krasnowa." —

Rach—ciach—ciach!
Rach—ciach—ciach!
Raz
białego
w brzuch
ciach!

jak w rzadkich na szczęście chwilach olśnienia teorią ekwiwalentów tłumaczy Sandauer — przestały być Majakowskim, piszącym poemat o rewolucji październikowej, a wątpliwe, czy stałby się choćby jednym ze swych zdolnych naśladowców, piszącym o powstaniu Szeli. Nie zapominajmy przy tym, że ogromną rolę w doborze leksykalnym odgrywa charakter utworu tłumaczonego, epoka jego powstania, cały szereg czynników, o których mówiłem na wstępie.

W dalszym ciągu swej przedmowy pisze Sandauer: „Za grę słowną lub kalambur nieprzetłumaczalny w jednym miejscu, próbowałem w innym zapłacić własnym, byle zgodnym ze znaczeniem i stylem oryginału, tak, aby suma piękności, choć nie tych samych, była w ostatecznym rachunku ta sama." Jeżeli omówiona tu pobieżnie zresztą teza o „twórczości zastępczej" wydaje mi się nie do przyjęcia, to przy takim tekście jak „Dobrze", tłumacz innego wyjścia jak przesuwanie na przestrzeni poematu gry słów, kalamburów i innych chwytów, ściśle związanych z brzmieniem słowa — właściwie nie miał.

Przypomnę przy okazji, że jedynie tego rodzaju zastosowanie teorii „ekwiwalentów", a nie anachroniczne „spolszczanie", nie „twórczość zastępczą" miał na myśli Tuwim w swym artykule „Czterowiersz na warsztacie", na który to artykuł powoływał się w swoim czasie Sandauer w „Odrodzeniu".

Silny nacisk położył Sandauer na rymy, twierdząc, że niezwykłość rymów jest jedną z zasadniczych cech poetyki Majakowskiego. Jest to rzecz do dyskusji, niemniej zwrócić należy uwagę na pozytywne wysiłki tłumacza, by tym rymom dać w języku polskim odpowiednik. Używa on w tym celu rymów na trzeciej od końca zgłosce, a nawet dalszych, — daktylicznych i hiperdaktylicznych. Oparte są one na logicznym akcencie słów — np. olśniewający ból śmie zamącać.

Inowacja ta jest jednak raczej ilościowa niż jakościowa — rymy składane, daktyliczne a nawet hiperdaktyliczne zna już poetyka skamandrytów.

Nie to jest jednak ważne. Stokroć ważniejsze jest, że Sandauer w odpowiedniej chwili wystąpił z odpowiednim przekładem, że dziś dla nas „Dobrze", poemat afirmujący rewolucję październikową, ma zupełnie inny wydźwięk, inne znaczenie, niż miałby przed wojną. I dlatego sądzę, że tak czy inaczej, niezależnie od całego szeregu zarzutów formalnych, które przy każdym prawie zresztą przekładzie można postawić, — Sandauer, przyswajając „Dobrze" polskiej literaturze, *dobrze zrozumiał społeczną rolę tłumacza.*

WNIOSKI

Wszystko to, co tu pobieżnie dość poruszyłem, da się sprowadzić do następujących wniosków:

Przekład poetycki powinien być wierny formalnie, zwłaszcza jeśli chodzi o wierność obrazowania. Tłumacz, zanim przystąpi do przekładania utworu poetyckiego, winien dokładnie zapoznać się z epoką jego powstania, z wszystkimi właściwościami stylistycznymi, warunkującymi charakter i odrębność utworu i w miarę możności odrębności te uchwycić. Błędne i niewłaściwe, moim zdaniem, jest przesadne „polonizowanie" przekładu, gdyż w ten sposób zaciera się charakter narodowy tłumaczonego utworu.

W sprawie przekładu rosyjskich wierszy jambicznych sądzę, że jamb w poezji polskiej ma dostateczną tradycję, by można było tłumaczyć jamby jambami, choć przy tłumaczeniu pięciostopowych jambów rymowanych można dopuścić użycie jedenastozgłoskowca sylabicznego. W zasadzie przekład powinien zachować miarę wierszową oryginału. Jeśli chodzi o zagadnienie rymu męskiego — tłumacz winien wyzwolić się spod jego sugestii.

I wreszcie ostatnia, niezmiernie ważna sprawa: tłumaczowi w żadnym wypadku nie wolno spaczyć ideologicznej linii utworu, musi on starannie porównać swój „zegar poetycki" z tą godziną, którą wybiła autorowi utworu jego epoka.

Seweryn Pollak

Rozmaitości

Refleksje na schodach

Przychodząc od czasu do czasu do redakcji „Kuźnicy", po drodze, w tym samym gmachu mijam obiecujący napis „Mathesis polska", wskrzeszoną nazwę znanego przed wojną wydawnictwa naukowego. Co się na razie dzieje w kilku pokojach za tym napisem, nie potrafię powiedzieć czytelnikowi, nie wiem, kiedy wydawnictwo podejmie przerwaną przez wojnę działalność i zacznie znowu wypuszczać książki o kwantach, o krzywiźnie przestrzeni, tak chętnie czytywane przez inteligencję i tak dziwny zamęt wywołujące w umysłach. Nie pomniejszając zasług innych wydawnictw, zawdzięczaliśmy tej instytucji stały dopływ najśmielszych i nie zawsze odpowiedzialnych koncepcji naukowych, ubranych w formę popularną i odurzających intelektualnie aż do ogłupienia. Pisma codzienne także nie dawały się ubiec. Wiedzieliśmy w ciągu tygodnia, że znakomity angielski fizyk zaproponował rezygnację z zasady zachowania energii — masy i od razu wszyscy religianci zacierali ręce, że oto walą się ostatnie posady materializmu i archaniołowie z pozłotem niebiańskim wstępują na gruzy. Trudniej było dowiedzieć się o tym, że znakomity fizyk swoją propozycję wycofał. Byliśmy znakomicie poinformowani o zaciekłej walce indeterministów z deterministami, ale tak znakomicie, że wszelkie sympatje intelektualne skłaniały się na stronę tych pierwszych. Popularyzacja przyjmowaliśmy z ramienia i z ducha Eddingtona czy Jemmesa. O biologii, o genach, wiedzieliśmy także coś niecoś. Tylko nie to, że zdumiewające biologów odkrycia są kapitalnym potwierdzeniem materialistycznej zasady przechodzenia zmian ilościowych w zmiany jakościowe.

Czy byliśmy tendencyjnie informowani? A tyle tendencyjnie, że takie właśnie, a nie inne tendencje i na Zachodzie i u nas łatwo znajdywały oparcie materialne w wydawnictwach i prasie, i natrafiały na bardzo słaby opór intelektulny. Byliśmy echem Europy, jaż każde echo oddalone — mglistym i wypaczonym, nowiny naukowe urastały do fantastycznych plotek i w głowach naszej inteligencji wytwarzały czad nieznośny. Okres ten można nazwać wielką krucjatą konwencjonalizmu filozoficznego na terenie nauk ścisłych, towarzyszyła jej w literaturze pięknej krucjata dziecięca. Tam sprowadzono całą wiedzę przyrodniczą do konwencjonalnego układu zasad, praw i formuł matematycznych, poza którymi jakby coraz głośniej i, jak chcieli fideiści, coraz mistyczniej miało huczeć niepoznawalne mare tenebrarum, tutaj znowu infantylną magią kreowano sobie własne światy. Ale o tym zdaje się obszerniej i dokładniej pisze Jan Kott w swojej wielkiej pracy, która podobno nareszcie ukaże się w druku.

Zdarzało mi się w owych czasach zetknąć z młodymi naukowcami, którzy zajmowali się popularyzowaniem jątrzących spraw nowoczesnej fizyki, tłumaczyli publikacje zagraniczne, redagowali dodatki naukowe w czasopismach. Wielu z tych młodych naukowców wyznawało szczerze lewicowe poglądy społeczne, byli wśród nich i tacy, którzy uważali się za marksistów. Wiedzieli, że marksista zgodzi się na przeformułowanie prawa przyczynowości i nawet z góry uważa to za rzecz nieuniknioną w miarę postępu wiedzy naukowej, ale nigdy nie odda objektywnej prawdy na pastwę konwencjonalistom. To nie przeszkadzało im entuzjazmować się najbardziej konwencjonalistyczną szermierką indeterministów. W ówczesnej atmosferze intelektualnej trudno było potępiać ich za to rozdarcie myśli czy niedopięcie sprzączek ideologicznych, było ono powszechnym znamieniem czasu. Inteligenci laicy, którzy chcieli dochować wierności marksizmowi i w tej dziedzinie, po której nie mieli rozumnego przewodnika, odnosili się podejrzliwie nawet do teorii względności. Ta komedia pomyłek powtarza się i dzisiaj. „Ezoteryczna atmosfera roztaczana wokół nauki o kwantach i współczesnej atomistyki (jak równie z genetyki) jest nie do zniesienia i nosi wyraźne cechy intelektualnego szantażu, którego ofiarą padają nawet szczerzy wyznawcy postępu", pisze w „Odrodzeniu" J. Sieradzki, dopominając się o jakieś prace naukowe i popularne, które by pozwoliły zorientować się szerszym kołom inteligencji. Naszej inteligencji trzeba przede wszystkim wyjaśnić, że wyniki badań a interpretacje filozoficzne to dwie różne sprawy. Konwencjonalizm jeszcze nikomu nie pomógł do zbudowania wzoru matematycznego i nie naprowadził na żadne odkrycie w atomistyce. Prace współczesnych fizyków mają wartość i sens niezależny od ich własnych interpretacyj filozoficznych, niekiedy subtelnych, a kiedy indziej wręcz humorystycznych.

Szantaż, o którym wspomina Sieradzki, jest ciągle trochę spóźniony w dzisiejszej atmosferze intelektualnej powojennej Europy. Po prawdzie, w niespełna rok po wojnie, trudno stawiać prognozy, ale pierwsze znaki na ziemi mówią, że przedwojenny kryzys myśli mamy już za sobą, że nadeszła chwila konsolidacji intelektualistów poszukujących konsekwentnej myśli postępowej we wszystkich dziedzinach wiedzy. Rozumiemy organ kurii krakowskiej może sobie po staroświecku atakować prawo przyczynowości, ale kto wie, czy fideiści zachodnioeuropejscy nie zmienią frontu i nie zaczną tego prawa bronić. Ostatecznie Bóg może się objawiać równie dobrze w naszej zdolności, jak i niezdolności do poznawania prawdy obiektywnej, równie dobrze w świecie związków przyczynowych jak i w świecie tych związków pozbawionych. Na rozwój myśli naukowej w żadnym wypadku to nie wpłynie.

A czytelnika muszę przeprosić za tę zbyt bardzo szczególnych refleksyj na schodach między „Mathesis polską" a „Kuźnicą". Nie ja byłem ich sprawcą.

ADAM WAŻYK

Komedia Jurandota w „Syrenie"

„Plecy" Jurandota, ostatnio wystawione w „Syrenie", nie są w ścisłym znaczeniu tego słowa komedią i niezupełnie farsą, lecz tak czy inaczej są dobrym widowiskiem. Właśnie to, że Jurandot nie zawahał się wprowadzić do swej komedii elementów farsy, a nawet wstawek rewiowych — dało w sumie utwór żywy, błyskotliwy i pełen dowcipu.

Już sam pomysł wprowadzenia fikcyjnej postaci, która staje się osią intrygi, — chwyt sceniczny zresztą znany i zawsze niezawodny, — dał autorowi możność stworzenia całego szeregu zaskakujących i dowcipnych sytuacyj; do tego doszły aktualne, żywe i trafne wypady satyryczne. Jeśli dodamy przy tym kilka zręcznie wplecionych piosenek i scenkę baletową, będziemy mieli przepis na „Plecy", jak na smakowity przekładaniec świąteczny. A piekarzem jest Jurandot dobrym i używa do swych wyrobów tylko znanych i wypróbowanych części składowych.

Jedyną bodaj wadą konstruktywną „Pleców" jest przydługa i wobec tego nudnawa ekspozycja. Cały pierwszy akt wlecze się zbyt ślamazarnie. Niemniej następne akty nadrabiają to całkowicie, akcja toczy się w nich żywo.

Obsada utworu Jurandota ma tak wyrównany poziom gry, że trudno właściwie kogoś wyróżniać — najmniej może przekonywujący był Kazimierz Pawłowski, bardzo natomiast przyjemna i naturalna — Jadwiga Chojnacka, która nareszcie zdecydowała się wrócić na scenę, no i oczywiście Stefania Grodzieńska. Jak bardzo odpowiedni i inteligentnie napisany tekst potrzebny jest aktorowi, by mógł wykazać swe możliwości, mamy przykład na Marii Bielickiej. Bielicka śpiewała już w „Syrenie" niejednokrotnie, lecz dopiero w piosence staruszki, jednej ze zręcznie wplecionych w tekst komedii wstawek rewiowych, pokazała co umie.

Seweryn Pollak

„KUŹNICA" ZAGRANICĄ

W dzienniku czeskim „Osvobozeny Nasinec", ukazującym się w Ołomuńcu, z dnia 18 grudnia 1945 znajdujemy przekład wiersza Józefa Wittlina „Stabat Mater". Przekładu dokonał O. F. Babler. Wiersz zaopatrzony jest w adnotacje, w której redakcja czeskiego pisma powołuje się na numer Kuźnicy, w którym zamieszczony był polski tekst wiersza Wittlina.

W tym samym piśmie, w numerze z dnia 16 grudnia 1945 r. zamieszczono obszerną notatkę o stratach lingwistyki polskiej opracowaną według artykułu prof. Ułaszyna („Kuźnica"). Autor notatki powołuje się również na artykuły i notatki Henryka Schippera, zamieszczone w „Kuźnicy".

ph.

Z PRASY POLSKIEJ W STANACH ZJEDNOCZONYCH

„Głos Ludowy", dziennik polski ukazujący się w języku polskim w Detroit zamieszcza w numerze z dnia 3 listopada 1945 r. obszerną notatkę „Ciągłe postępy nowej demokracji". Wymieniając osiągnięcia w rozmaitych dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego w Polsce, autor notatki wspomina m. inn. o zorganizowaniu w Krakowie teatru młodzieży robotniczej im. Ignacego Fika, podając jednocześnie planowany repertuar tego teatru.

W „People's Voice", tygodniku poświęconym sprawom Polonii Amerykańskiej, wydawanym w Detroit, w numerze z dnia 3 listopada 1945 r., w dziale polskim (pismo wydawane jest w języku angielskim i polskim) znajdujemy kolejny odcinek powieści Wandy Wasilewskiej „Ziemia w jarzmie" oraz kronikę kulturalną kraju.

ph.

Nowe poezje *)

Twórczość Ozgi-Michalskiego zrodziła się pod znakiem tzw. poezji ludowej. Piszemy „tzw." nie dlatego, aby zmniejszać wartość czy negować poetyckość tego rodzaju twórczości, ani też dlatego, by kwestionować odrębność wszelkiego rodzaju prób włączania elementów kultury ludowej w zakres tego, co należy do ogólnego poetyckiego dorobku, — ale dlatego, by podkreślić, że granice tego rodzaju są płynne i począwszy od chłopskich autentyków i prymitywów poprzez wszelkie odmiany stylizacyjne ciągną się aż do najszlachetniej (lub najnaiwniej) użytych motywów ludowych w poezji klasycznej czy ogólno-narodowej, mniejsza o to jak ją nazwiemy.

Wiersze Ozgi-Michalskiego nie należą ani do gatunku zakamienialych w upartym regionaliźmie i przeświadczeniu, że dopiero to jest chłopskie, co podkreśla odrębność, gwarowość i cudaczność, ani też do gatunku uklasyczniającego ludowość. Drogę gawędy poetyckiej obraną przez Ozgę można by uważać za jak najbardziej trafny środek oddania lirycznej prawdy wsi bez poetyzowań i zakłamań, z dużym zasobem realizmu, świeżości i humoru, gdyby założyć, że Ozga przezwyciężył szczęśliwie różne trudności i opory, jakie na tej drodze jeszcze napotyka i jakie sprawiają, że bezwzględnie interesujący jego zbiorek daleki jest na razie od doskonałości.

Trafny układ tomu dzieli wiersze w nim zawarte na dwie grupy: w pierwszej znalazły się utwory o charakterze mniej jednolitym — niektóre szczere i sympatyczne, ale nie wybiegające poza konwencje liryki tradycyjnej (choć w jej ramach autor umie zdobyć się na tak świeży i piękny wiersz jak „Pożegnanie znajomej dziewczyny"), inne dające wyraźnie posmak właściwego, jak się zdaje, jego stylu — lirycznego żartu, fraszki, rodzaju, w którym Ozga celuje, wnosząc do poezji współczesnej prawdziwie nowy, choć — podkreślamy to dobitnie — nie pozbawiony antecedencji w dawnej polskiej tradycji poetyckiej, ton.

Rozwinięciem tego rodzaju utworów (doskonała zwłaszcza: „Uprzejmość w rodzinie", „Dzień mroźny", „Święty Mikołaj") jest grupa druga utworów — jednolitsza, składająca się z dłuższych, całkowicie w stylu chłopskich autentyków utrzymanych gawęd, w której jednak również obok świetnych utworów, jak „Gospodyni pan", „Wiatrak", „Dym z komina", „Grusza" i „Woskiem", występują wyraźnie wadliwe i manieryczne, jak „Echo stodolne" lub kompozycyjnie zupełnie rozpadające się jak „Rada".

W ogóle gawędy Ozgi oparte na zasadzie kompozycyjnej bardzo luźnej, ale w większości utworów nie jest to [illegible]. Sens stylu ludowego Ozgi polega na tym, że inkrustuje on go świecidełkami gwary, zdobiącej myślowe konwencje współczesnych epok literackich, jak to najczęściej bywa z tzw. autentycznymi pisarzami chłopskimi, którzy dorwali się do literatury, jak np. Nędza-Kubiniec, lecz stara się utrzymać psychologiczną prawdę chłopskiego humoru, istotę niedopowiedzeń, parabol, skojarzeń i myślowych przerzutów, zawartych w zaskakującym nas często i tak bardzo niekiedy od naszego odbiegającym toku myśli człowieka, rozwijającego się w sferze o dominującej przewadze tradycji ustnej nad kulturą literacką.

Dla Ozgi styl chłopski nie jest zabawką, ale nie jest też przedmiotem owej gazdowskiej „mądrości", pretensjonalnej dumy bijącej z niektórych utworów gwarowych. Jest on mu bliski i mimo całego niewątpliwego ogromnego dystansu, jaki poeta zdobył w stosunku do sposobu myślenia postaci ze swych gawęd — niemal własnym jego stylem. Jest tylko pozornie prostą rzeczą przenie sienie tych wymykających się spod dotychczasowych konwencji utworów w sferę literatury. Z trudności tych nie zawsze — jak zaznaczyliśmy — autor wychodzi obronną ręką. Wydaje się, że niekiedy, jak gdyby w obawie przed utraceniem watku autentyczności, ułatwia sobie zadanie, stosując coś w rodzaju écriture mecanique, rzucając na papier niedostatecznie kontrolowany tok wiersza, wskutek czego wychodzą na jaw pewne nieporęczności, niedociągnięcia, rzeczy „puszczone", które należało by wypracować. Przy tak poezji tak czułej na pointę, na wydźwięk stateczny, będący istotą humoru lub liryzmu, którą nadaje utworom sens, bardzo łatwe jest uchybienie zamierzeniu, poślizgnięcie się — tak jak bardzo subtelna jest granica między dziecinną mazaniną a szkicem zrobionym kilkoma kreskami.

Jeśli chodzi o położenie w układzie społecznym, wiersze Ozgi przedstawiają się bardzo interesująco jako wyraz buntu i walki przedstawiciela młodej warstwy chłopskiej. Wydane są w ładnej szacie zewnętrznej, z zasiłku Min. Kultury i Sztuki.

Ryszard Matuszewski

*) Józef Ozga-Michalski „Oberek Świętokrzyski". Kielce. 1945 r.

NIE DOŚĆ JEST CZYTAĆ „KUŹNICĘ" TRZEBA JĄ KUPOWAĆ I PRENUMEROWAĆ. ZAPRENUMEROWAĆ „KUŹNICĘ" MOŻNA W KAŻDYM URZĘDZIE POCZTOWYM. PRENUMERATA KWARTALNA Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ WYNOSI ZŁ 84.—

NOTY.

SPRAWA NADER WAŻNA

Wszystkie rewolucje mają swój okres bohaterski, który stosunkowo niedługo ustępuje pracy organicznej, opartej na śmiałych i bezkompromisowych decyzjach. Okres bohaterski naszej bezkrwawej rewolucji już właściwie się kończy. Trzy hasła były wypisane na jej sztandarach: zreorganizowanie przemysłu poprzez nacjonalizację wielkich zakładów wytwórczych, reforma rolna i reforma szkolna. O ile wielkie rozstrzygnięcia na polu gospodarczym doprowadzono do końca, tak że nikt ich wycofać nie zdoła, o tyle na polu oświaty bohaterski okres rewolucji został zmarnowany zupełnie.

Nie mą co owijać w bawełnę: reforma szkolna poświęcona została jako ofiara na ołtarzu jedności narodowej. Nowy Minister Oświaty otrzymał całkowicie wolną rękę w działalności na terenie swego resortu, przyniósł z sobą nowe pomysły, ale z kolei... zrobił z nich ofiarę na swym własnym ołtarzyku zgodnego współżycia z podwładnymi, których już zastał, a którzy przecież rzecz traktowali serjo i sprawy reformy szkolnej nie czynili przedmiotem koniunkturalnych ustępstw.

Od zjazdu łódzkiego, który był szczytowym punktem bohaterskiego okresu rewolucji oświatowej w demokratycznej Polsce, o reformie szkolnej się milczy. Nawet administracja szkolna jest wyraźnie zaniepokojona: „jak to właściwie jest z tą reformą?" — „czyżby to wszystko już było nieważne?"

Aż tak źle może jeszcze nie jest, choć rzeczywiście sytuacja się przedstawia fatalnie. Trzeba raz szczerze niektóre rzeczy powiedzieć:

Reforma szkolna to sprawa zbyt istotna, żeby sobie z niej robić polityczne czy kurtuazyjne prezenty. Na tych, którzy ją rozpoczęli, ciąży moralny obowiązek doprowadzenia jej do końca. Niech autorowie przeciwstawnych koncepcyj, znajdujących poparcie w autorytecie Ministra, wystąpią z otwartą przyłbicą i niech dowiodą słuszności swego stanowiska. Szeptane argumenty niech wypłyną na forum publiczne, niechże nareszcie odbędzie się walna batalja, której celem będzie nie pogrążyć przeciwnika, lecz przyczynić się do zwycięstwa sensu. Przestańmy nawzajem upatrywać u siebie złą wolę tylko dlatego, że nas dzieli różnica poglądów. Do takiego traktowania najmniej chyba nadają się różnice w poglądach natury... pedagogicznej. A już naprawdę parodoksalną i niezdrową jest rzeczą, jeśli z tego powodu cierpieć musi wielka sprawa reformy szkolnej. Bez niej poczynania na polu gospodarczym będą niepełne i po długich dopiero latach zdolne będą kształtować świadomość społeczną młodzieży, której wychowaniem wszyscy przecie chcielibyśmy jak najlepiej pokierować już dzisiaj.

Żm

ZŁE OBYCZAJE

Pana WD z interesującego poza tym pisma „Dziś i jutro" zajmuje stosunek „Kuźnicy" do świat katolickich.

Niestety „Kuźnica" nie puszcza farby. Snuje więc domysły na podstawie rozmaitych danych. To mu wolno.

Tylko że nie jest obiawem katolickich, ale hitlerowskich obyczajów pisać „Według poglądów głoszonych przez te pisma („Odrodzenie", „Kuźnica"), to rzecz zupełnie obcotna, co czuje całe społeczeństwo polskie".

Znamy ten faszystowski chwyt identyfikowania endecji, oeneru i kołtuństw z całym społeczeństwem polskim.

Dziś w obliczu zwycięstwa lewicy, wobec masowości ruchu lewicowego panowie z endecji przekraczają dopuszczalne granice bezczelności, gdy usiłują wmówić, że to oni reprezentują Polskę. A może tylko obszarników, fabrykantów i biskupów?

Czy polityka kulturalna „Kuźnicy" razi uczucia Polaków czy nie — osądzają ci Polacy, których ma społeczny „Kuźnica" wyraża. Jest ich dość wielu i dość są warci, by nie gadał za nich każdy prawicowy dziennikarz.

Żtk

WATYKAN I GENERAŁ ANDERS

Audjencja zamówiona przez generała Andersa i ambasadora „rządu" Raczkiewicza przy Watykanie w dniu 11-ym listopada, zakończyło się uroczystością, na której padły słowa: „Walka o istnienie Polski prawdziwie wolnej i niepodległej prowadzoną będzie w dalszym ciągu". Faszystowskie ideały p. Andersa znajdują resonans w Watykanie.

Wystąpienie andersowskie znajduje pełne poparcie w organie Papieża „Osservatore Romano". To właśnie pismo nazywa ambasadora Kota „rosyjskim dyplomatą". Atak generalny rozwija się przede wszystkim na odcinku konkordatu. Pisma andersowskie piszą, iż Rząd Jedności Narodowej uznał niesłusznie nominacje dwóch Niemców na administratorów 2 diecezji za naruszenie konkordatu". Andersowcy posuwają się nawet do obrony pronjemieckiej polityki papieża, uważając za fakt normalny oddanie wiernych Polaków niemieckim duszpasterzom.

Dalej andersowski „Orzeł Biały" uważa, że ustawa o reformie rolnej ij tylko dlatego zostawia nienaruszone majątki kościelne, aby wzniecić antagonizm między chłopem a plebanją.

Nic się tym dwu przedsiębiorstwom w tej Polsce nie podoba.

tb.

BEZDOMNI STUDENCI

Łódź długo wzdychała do Uniwersytetu. I słusznie. Uniwersytet jest szczególnie ważnym ośrodkiem życia kulturalnego. Uniwersytet — to wiele dla miasta. Nie ma jednak uniwersytetu bez studentów. Student zaś nie może pracować i żyć bez mieszkania. Zwłaszcza w naszym klimacie.

Tymczasem 1.800 studentów zgłosiło się jako kandydaci do domów akademickich. W Łodzi mamy dwa takie domy. Na Kościuszki i na Ogrodowej. Pierwszy mieści 182 studentki, chociaż obliczony był tylko na 150 osób, w drugim gnieździ sie 311 studentów, chociaż miejsca jest tylko na 240.

W pokoju stoi po 10 — 12 łóżek.

Tak dłużej być nie może. Nie wierzę, aby w Łodzi nie można było znaleźć jeszcze dwóch dużych domów dla tej chłonskiej młodzieży, której oczekujemy i o która walczymy.

Za bezdomnymi studentami i co gorzej często jeszcze bezdomnymi profesorami winny się ująć demokratyczne partie polityczne.

Żtk

HISTORIOZOFIA GOŁUBIEWA

Nie chcę atakować historiozofii, bo nie bardzo dobrze wiem, co dzisiaj może to słowo oznaczać. Geistwissenschaft — pod tym tytułem chętnie teoretycy niemieccy ogłaszali rozprawy o ogólnej strukturze nauk humanistycznych i historii jako podstawowej dyscypliny badań nad kultura. Rozważania te obejmowały zagadnienia wartości, typu wyjaśniania, jedności kultury, periodyzacji, powtarzalności i prawidłowości zjawisk. Były one niewątpliwie filozofią historii, ale były również, i w tym polega ich wartość, pierwszą systematyczna próba rewizji podstaw metodologicznych humanistyki. Rozwój metodologii nauk ścisłych i logistyki zmusił humanistów do zaostrzenia wymagań stawianych własnej pracy naukowej. Powstały techniczne sprawdziany poprawności myślenia naukowego: formalnej sprawdzalności sądów. Ten typ historiozofii stał sie metodologią, albo raczej rozdziałem metodologii współczesnej, analizą semantyczna, analiza logiczną. Można ten typ rozwiązań uznać za niewystarczający, ale nie wolno go lekceważyć.

Istnieje synteza historyczna okresu, prądu, epoki. Najbardziej ambitny, najtrudniejszy gatunek naukowy. Porządkuję i konstruuje, tworzy obraz epoki, a wiec prawdziwy związek faktów kulturalnych — procesów społecznych, gospodarczych, obyczajowych, i ich odbicia w świadomości ludzkiej, w prądach literackich, w sztuce, w ideologiach politycznych i filozoficznych, w mitach. To nie jest historiozofia, to jest prawdziwa historia.

Istnieje wreszcie rodzaj rozważań, w których miesza się i myli wszystko: wypowiedzi pisarzy i ich życie osobiste, zjawiska gospodarcze i podstawy psyciczne, życzenia, marzenia i dążenia. Nie wiadomo kogo? Nie wiadomo gdzie? Istnieje typ rozważań, gdzie na dwóch stronach charakteryzuje się 1000 lat kultury, wybiera dowolnie dwa różne zjawiska, np. książkę filozoficzna Bergsona, i rodzaj kapeluszy rokokowych dam, nazywa się to sceptycyzmem, materializmem, liberalizmem, czy diabli wiedzą czym, po czym jeszcze pół stroniczki, jeszcze dwa nazwiska i hop! siup! oj tradi radi, oj da dana! Wracamy do średniowiecza. Jeżeli umówimy się, że będziemy banialuki nazywać historiozofią, jeżli umówimy sie igraszki terminami nazywać historiozofia, to proszę pamietać, że ja byłem przeciw.

W „Tygodniku Powszechnym" z 6 stycznia 1946 p. Antoni Gołubiew ogłosił wstępny artykuł „Mity XIX wieku i chrześcijańska kultura". Autor usiłuje udowodnić głęboko rozkładowy i antynomiczny charakter kultury XIX wieku i przeciwstawia mu jednolity i twórczy typ kultury chrześcijańskiej, której wzorem było średniowiecze. Nie chcę dyskutować merytorycznie, nie bede raz jeszcze pisał, że powrót do średniowiecza jest śliczna nazwa dla bardzo brzydkich i bardzo konkretnych dążeń do powrotu w czasy grubo bliższe. Chodzi mi dziś o coś innego, o sprawę znacznie prostsza, o minimum szacunku dla czytelnika, o elementarna poprawność myślenia. A więc **po pierwsze** nie wolno pisać zdań, które absolutnie nic nie znaczą, które są pozbawione jakiegokolwiek sensu, które są czystym ple, ple.

> **Przykład:** „Obok rozkładu w dziedzinie ducha, następuje rozkład w strukturze społecznej. Pewności nie ma nigdzie. Nawet t zw. pewniki przyrodnicze zaczynają się chwiać. Nawet na materii nie można się oprzeć z cała ufnością, a człowiek tęskni za ufnością..." (Charakterystyka wieku XIX).

Po drugie: Wolno namawiać ludzi do powrotu do średniowiecza, (to jest ostatecznie sprawa prywatnych gustów), ale nie powinno się namawiać ludzi do powrotu do życia w jaskiniach czy na palezjach drzew. To już naprawdę nie wypada.

> **Przykład:** „Ostatnie 4 czy 5 wieków, to rozsadzanie tego, co wybudowaliśmy w ciągu czterech czy pięciutysiacoleci. Czy nie jest symbolem, że epoka ta dała w rezultacie bombę atomowa?

Po trzecie: Można być solipcystą, freudystą i anabaptysta. Ale w żadnym wypadku nie wolno absolutnie nie liczyć się z najbardziej prymitywnymi i podstawowymi twierdzeniami nauki. Nie wolno jednym machnięciem pióra wywracać do góry nogami całej historii gospodarczej świata. Kawałek to jeszcze ujdzie, ale cała to naprawdę nie wypada.

> **Przykład:** „Wiek XIX to spotęgowany czas różnic społecznych. Jest gorzej poniekąd, niż było w epokach pańszczyzny, czy nawet niewolnictwa. Prawda, prawo XIX wieku karało nadużycia. Ale ten, który żył dawniej z pracy „swojego" człowieka musiał dbać przynajmniej o to by ten człowiek nie umarł z głodu. Współczesny fabrykant, gdy ogranicza produkcje wymawia prace".

Po czwarte: Można być idealista lub materialistą, ale nie wolno uważać Hitlera za mit astralny. Ostatecznie żyliśmy sześć lat w GG. To jest fakt, któremu trudno zaprzeczyć. Wielbiłem kiedyś nadrealistów, ale zawsze szanowałem podział na gatunki literackie: publicystyka, to jednak nie jest to samo, co „Ala w krainie czarów".

> **Przykład:** „Lecz oto zjawia sie w umysłowości europejskiej nowy mit... Jest to dość osobliwy mit, a nazywamy go imperializmem (Ładny mit!). Panów świata ujrzymy moc od Cyrusa, czyieszcze głębiej do Mahdiego czy jeszcze później. Lecz dawniej był to mit nieskrystalizowany ideowo, mglisty i niejasny, był czynnością nie idea. Sformułował go i nadał mu rozmach ideowy dopiero Mahomet, twórca ideologii imperialistycznej". Muzułmanie, prosze sie obrazić!

Po piąte: Nie wolno na pewnym poziomie rozważać historycznych uważać, że parę książek, choćby najbardziej ważkich, było przyczyna rewolucji społecznej czy też zadecydowało o charakterze kultury epoki. To jest analogiczne do tłumaczenia „Dziadów" miłością Mickiewicza do Marvli.

> **Przykład:** „Każdy podrecznik szkolny, omawiający źródła rewolucji francuskiej i kultury nowoczesnej wymienia jednym tchem encyklopedystów i J. J. Rousseau". Nie musimy sięgać do podręczników szkolnych dla II gimnazjalnej. Nikt do tego nie zmusza.

Po szóste: Autor wstępnego artykułu w piśmie katolickim nie może stanąć na stanowisku, że Bóg jest wielkim fabrykantem broni, który co parę dziesięcioleci — to dzidę, to łuk, to armatkę, to znów czołg czy samolocik podrzuca biednym ludziom.

> **Przykład:** „Bóg czuwał nad światem, że nie faszystom dał bombę atomową".

Bardzo szanuje i cenie red. Turowicza Dzięki jego staranności, kulturze i doświadczeniu „Tygodnik Powszechny" jest pismem, z którym można na serio dyskutować. Dlatego też pozwalam sobie na osobista prośbę: Drogi Redaktorze! Pożyczyłem od Was w Krakowie ołówek. Zwróciłem go. Bez ołówka nie damy sobie rady. Wykreślajcie na miłość boska bzdury! Szanujmy naszych czytelników. Starajmy sie tenić belkot. Z belkotu, z nieuczciwego myślenia, z zupełnej dowolności sądów, z lekceważenia moralności naukowej, czy choćby nawet publicystycznej, nic dobrego nie wyjdzie.

Jan Kott

Przegląd prasy

Nowy, powiększony numer „Wsi" (nr 1) ukazuje nieco zmienione oblicze tego pisma, które w ubiegłym roku wydawniczym wywoływało tyle polemik w prasie literackiej. Nowy, trzeci rok wydawniczy rozpoczyna „Wieś" numerem pozbawionym rozważań na temat ogólno-literackie, natomiast skupia materiał wokół tematyki najbardziej interesującej zapewne i członków Wiejskiego Oddziału Zw. Zaw. Literatów, którego pismo jest organem i szerokie rzesze czytelnicze, zarówno na wsi jak i w mieście. Interesującą, zwłaszcza dla miejskich czytelników „Wsi", dla inteligentów, jest dyskusja o gwarze. Bardziej interesujące pozycje tej dyskusji odnotowałem w jednym z poprzednich przeglądów prasy. W omawianym numerze „Wsi" znajdujemy obszerny artykuł Kazimierza Budzyka „Lekkomyślna dyskusja na poważny temat" oraz Artura Sandauera „O literaturze gwarowej". Budzyk stoi na stanowisku realistycznym, twierdząc, że „czy się to komu podoba czy nie, wieś na długi czas jeszcze w najlepszym wypadku musi pozostać dwujęzyczna i będzie to dużym osiągnięciem pedagogicznym, jeśli potrafimy doprowadzić do opanowania tam dialektu kulturalnego w stopniu zbliżonym do sprawności, z jaką chłop posługuje się gwarą". O ile obiektywne spostrzeżenia Budzyka są słuszne, o tyle wnioski, jakie wyprowadza autor, omawiając rolę gwary w literaturze, są niesłuszne. Budzyk kwestionuje zdanie jednego z uczestników dyskusji zapewne, że „literatura powinna zacierać różnice dialektyczne mowy a nie pogłębiać je" „Co jej do tego — literaturze — czy chłopi mają się wyzbyć swego języka czy też go kultywować" — pyta Budzyk. Wydaje się, że zdecydować o tym mogą tylko warunki ekonomiczne i polityczne dalszego rozwoju wsi polskiej. Dlatego teoretyzowanie w ramach czysto lingwistycznych jest właściwie bezpłodne. Artur Sandauer traktuje nawrót do gwary, jaki obserwujemy u wielu pisarzy chłopskich jako próbę wyodrębnienia się i zastanowienia się, komu właściwie „ma służyć to przekręcanie normalnego języka i pisowni"...

Jan Aleksander Król w artykule „Oda do młodości" omawia ideologię Józefa Niećki, jednego z wybitnych działaczy chłopskich. Król podkreśla antycywilizacyjną i antytechniczną pozycję, jaką zajmuje Niećko, co w naszych warunkach specjalnie zasługuje na potępienie. Wreszcie Król demaskuje utylitarny w gruncie rzeczy charakter „słowiańszczyzny", której Niećko stara się nadawać cechy mistyczne. „Wypada nam raczej słowiańszczyznę podziwiać za cywilizację, a nad naszą historią ręce łamać, że ugrzęzła w przyrodzie, to znaczy w nieporadności i dławieniu postępu".

Ryszard Matuszewski omawia twórczość poetycką przedwcześnie zmarłego Józefa Stachowskiego w artykule „Poezja wiejskiego krajobrazu i sielanki". Lubelski „Zdrój" jest pismem w założeniu swoim regionalnym. Tym niemniej prócz materiału poświęconego sprawom lubelskim, przynosi niekiedy interesujące artykuły treści ogólnej. W nr 8 Wojciech Natanson zamieszcza artykuł o języku, uwzględniając zwłaszcza dzieje rozwoju języka podczas ostatniej wojny. Natanson przytacza interesujące przykłady tworzenia się nowych określeń i wyrazów, które powstawały dla wyrażenia niechęci i pogardy dla okupanta. Poza tym w numerze proza Jana Parandowskiego „Pokój wigilijny" i, niestety, dużo złych wierszy.

Przeglądając jeden z ostatnich numerów „Tygodnika Warszawskiego" (nr 1) znalazłem artykuł L. Natansona „Ponad oczywistością". P. Natanson jest relatywistą, przytacza liczne przykłady względności pojęć, zarówno z dziedziny fizyki jak i z dziedziny humanistyki. Są jednak prawdy „istotnie powszechne i bezwzględne" — nie trudno się domyślić, jakie. Jest to mianowicie prawda objawiona „o której jest powiedziane, że będzie „dla Pogan głupstwem". Tej prawdy nie jest w stanie przyjąć ten „kto w sposób bałwochwalczy ubóstwia własny rozum. Ale bywa i nagroda, a mianowicie: „Nauka tym, którzy jej rzetelnie służą, otwiera drogę Pokory, prowadzącą do Wiary".

Po przeczytaniu powyższego artykułu, pilny czytelnik prasy z prawdziwą przyjemnością zaznajomi się z „Pielgrzymem Polskim". Jest to pismo oświeconego ruchu chrześcijańskiego grupującego się wokół Kościoła Melodystycznego.

W dwóch numerach „Pielgrzyma" (2 i 3) znajdujemy m. in. artykuł Pawła Hulki-Laskowskiego: „Katolicyzm i cywilizacja". Autor ostro atakując Watykan, wskazuje na wsteczną, hamującą rozwój cywilizacji rolę kościoła rzymskiego". Hulka Laskowski nie szczędzi ostrych słów zwłaszcza katolicyzmowi polskiemu. „Katolicyzm polski jest kwietystyczny. Błogosławi on ubóstwo, hoduje ciemnotę, wyłącza inicjatywę".

„Pielgrzym Polski", atakujący bigoteryjny i skostniały katolicyzm z pozycji fidejistycznych, świadczy o tym, że wbrew opinii pewnego odłamu prasy katolickiej istnieje obecnie potrzeba, nawet dla wierzących, gruntownego zrewidowania kunsztownie budowanej przez wieki watykańskiej legendy.

ph.

BIURO ODBUDOWY STOLICY

POSZUKUJE

EKONOMISTY lub SOCJOLOGA na stanowisko KIEROWNIKA pracowni demograficzno-gospodarczo-społecznej Wydziału Urbanistyki

Czas i warunki pracy do omówienia. Oferty wraz z życiorysami zawierającymi dane o kwalifikacjach naukowych, należy składać do dnia 20 stycznia 1946 r. w Wydziale Urbanistyki BOS Górnośląska 45, pawilon I (teren b. Szpitala Ujazdowskiego).

CENY OGŁOSZEŃ: Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D—02772

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Prenumerata miesięczna zł 28.—, kwartalna zł 84.—.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.